Nr. 17. **PRACA** Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. *Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann.* Adr. tel.: „Praca“ Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

O znaczeniu wystaw przemysłowych.

Co rok wzywają miasta rozmaite za pomocą ogłoszeń i artystycznie wykonanych plakatów, kupców, przemysłowców, gospodarzy i t. d. do brania udziału w wystawach, które zawsze z początkiem wiosny bywają uroczyście otwierane. Wszyscy, którzy mają nadzieję wielkiego powodzenia, czekają z niecierpliwością na ten dzień ważny, i ufni w swoje szczęście, nie zwracają uwagi na rady i przestrogi tych mądrych ludzi, którzy starają się wykazać im niepowodzenia wszelkich takich przedsiębiorstw i urządzeń. Z jednej bowiem strony tworzą straty pieniężne, które mają służyć za przykład odstraszający, wyjątki tylko, z drugiej zaś strony, przeważają je o wiele najrozmaitsze korzyści, jakie każdy nieomal z wystawy odnosi. Chociaż więc ta lub owa wystawa nie udała się może tak, jak się tego spodziewano, to dla tego nie powinno to odstraszać ludzi od urządzania wystawy, bo jakkolwiekbądź, można tam zawsze widzieć wiele pięknych okazów, dla wystawiających zaś znaczy to więcej, niż najdroższa reklama. Cały historyczny rozwój naszych wystaw potwierdza to pojmowanie rzeczy.

Początek wystaw sięga do połowy 18 stulecia, a zaledwie urządzono pierwszą, stały się późniejsze niezbędną potrzebą modnej kultury — wystawy powtarzały się odtąd często, i ludzie starali się usilnie o coraz większe udoskonalenie ich. Cel ich był zawsze równy: popieranie sztuk, przemysłu i wykształcenia fachowego i ogólnego. Do tego celu dążyły publiczne wystawiania artystycznych i przemysłowych produktów całego kraju lub pojedyńczych prowincyi, współzawodnicząc pomiędzy sobą. — Wystawy zawdzięczają, jak wiadomo, początek swój francuzkim muzeom, do których kamień węgielny położył kardynał Mazarin swemi bogatemi zbiorami. Mądry i energiczny Colbert, który po śmierci wielkiego tego męża stanu ujął ster polityki i finansów we Francyi, nie zaniedbał nic, co obiecywało przyczynić się do podniesienia produktywności kraju. Umiejąc należycie ocenić wysoki cel naukowy znacznych zbiorów sztuki, wpadł na myśl zgromadzenia w jednem miejscu dzieł żyjących jeszcze artystów, aby tym sposobem dać szerszym kołom okazyą do kształcenia się i zachęcić innych do naśladowania sławnych ludzi.

Ale dopiero cywilizacya następnego stulecia potrafiła urządzenie to, mające na celu podniesienie sztuk i przemysłu, wprowadzić w życie. Pierwszą sposobność do tego dała wystawa szkoły sztuk pięknych (E'cole des beaux arts) w r. 1763, a powodzenie jej było tak ogromne, że inne kraje poszły zaraz za przykładem Francyi. I tak dwa lata później urządzono podobną wystawę w Dreźnie, jedenaście lat później w Berlinie, a w r. 1786 w Monachium.

W owym czasie stały rękodzielnictwa państwowe we Francyi niezmiernie wysoko. Rozmaite produkta, jak np. porcelana i gobeliny, nie miały równych sobie w całym świecie, a rząd, chcąc sobie i ciekawej publiczności wyrządzić przysługę, zabrał się do wystawy płodów francuzkiej industryi w r. 1798. Ale i ta wystawa ograniczała się jeszcze tylko na przedmiotach sztuki i artystycznych industryi. Zwolna dopiero, dzięki olbrzymiemu rozwojowi komunikacyi świata, z którą dziennikarstwo szło ręka w rękę, dzięki udoskonaleniu techniki maszyn, zaczęły wystawy obejmować produkta surowe, aby ostatecznie wciągnąć jeszcze w swój zakres wszelkie materyalne strony życia ludowego o tyle, o ile te wystawiać się dadzą. Jeżeli od samego początku miały takie wystawy produktów krajowych głównie ten cel, aby dać publiczności wyobrażenie o umiejętności ogólnej, i chciały z jednej strony jak najkorzystniej własną polecić robotę a z drugiej producentów zachęcić rywalizacyą do jeszcze wyższych dążeń, to już do owej pierwszej wystawy w r. 1798 przyłączył się nowy czynnik, który z właściwą produkcyą nic nie miał wspólnego. Była to strona polityczno-moralna, która odtąd była objawem, towarzyszącym każdemu takiemu przedsiębiorstwu. Francyi należy się sława rozpoznania wysokiego znaczenia wystawy pod tym względem, Francya bowiem nie tylko, że widziała w owej pierwszej wystawie skuteczne poparcie sztuk pięknych i industryi, ale równocześnie uważała wystawę za wyborny środek stoczenia zwycięzkiej walki na polu gospodarstwa z Anglią. Dla tego też nazwano wystawę w dniu jej otwarcia „une campagne“ a fabryki „des arsenaux“. I później potrafiono zawsze doskonale robić reklamę wystawami dla własnych produktów, i wysuwać honor i sławę narodu francuzkiego na najpierwsze miejsce. Gdy wszystkie nieomal narody Europy leżały pokonane u stóp Napoleona, musiała także wystawa uświetnić zwycięztwa walecznego wojska. Napoleon sam nazwał wystawę w r. 1806 „une partie des fêtes, consacrées a célébrer les triomphes des armées d'Ulm et d'Austerlitz.“ (częścią uczt, odprawianych na uczczenie zwycięztw pod Ulm i Austerlitz), i częściej, niż raz, podnosiły wystawy ducha ludzi, gdy straszliwe rewolucye i zamieszanie w kraju napełniały serca ich rozpaczą i zwątpieniem. Było to mianowicie w r. 1819, 1834 i 1849, a wystawa paryzka w r. 1878 dała najlepszy dowód siły i potęgi państwa, pomimo klęski, jaką poniosło w nieszczęśliwej wojnie niemieckiej. Paryż był znowu stolicą całego świata ucywilizowanego! — Inne państwa zaczęły też naśladować pod tym względem Francyą. Dwadzieścia lat po pierwszej wystawie francuzkiej urządzono wystawę w Monachium, ograniczając się tylko na produktach jednej prowincyi. W r. 1824 nastąpiły wystawy w Dreźnie i w Berlinie, w r. 1842 w Moguncyi. Austrya poszła wkrótce za przykładem Prus, a za Austryą dopiero Anglia, urządzając pierwszą wystawę w Manchester (w r. 1843). Polityczne zamieszania nie były jedynym powodem, dla którego kraj ten, tak bo-

gaty, ociągał się długie lata z urządzeniem wystawy. Ale i wówczas już, tak jak dziś znajdowali się ludzie, wątpiący o produktywności wystaw, praktyczni więc Anglicy chcieli najpierw na zagranicznych wystawach nabierać potrzebnego doświadczenia, i najpierw spróbowali szczęścia dwiema zupełnie małemi wystawami, zanim się zdecydowali na urządzenie owej wielkiej w r. 1851. — Jeżeli by się wystawy uważało jedynie za reklamę, spotęgowaną publiczną rywalizacyą, to wątpliwość o jej korzyści dla produkcyi byłaby niejako uzasadnioną, tem więcej, że każda reklama osięga tylko pośredni skutek. Ale istota wystawy jako środka reklamy jest często za mało ocenioną i zapoznaną. Pojedyńcze gałęzie produkcyi nie osięgną może zawsze na wystawie zamierzonego celu, cały szereg bowiem mniejszych, dotąd nieznanych współzawodników występuje teraz na pierwsze miejsce i walczy o część odbytu. Nie trzeba jednak nigdy zapominać, że główne znaczenie wystawy polega właściwie na stronie duchowo-moralnej o tyle, o ile wystawiający ukazują się światu jako imponująca całość, a w im świetniejszy się to odbywa sposób, tem wyżej stoi znaczenie produkcyi i sława narodu. Dla francuskiej więc industryi są wystawy reklamą, która systematycznie uprawiana, ma swój główny punkt oparcia w Belgii, w Holandyi, w południowej Ameryce i na całym Wschodzie. Najlepszym zresztą dowodem korzyści jest szybki ich rozwój, a jedynie zysk tłumaczy coraz to liczniejszy współudział industryi i publiczności w tych urządzeniach. Pominąwszy kilka mniej korzystnych rezultatów, są wystawy wszędzie, mianowicie dla miast, w których się odbywają, źródłem ogromnych dochodów, tak, że mamy ostatecznie wszelkie prawo przypuszczenia, że jeżeli się jaka wystawa nie udała, to zależało jedynie na nieumiejętnem urządzeniu jej, albo na innych warunkach, które jednak z wystawą jako taką nic wspólnego nie miały. *S. G.*

Warzywnictwo włościańskie.

Ktokolwiekbądź przedmiotu żywienia się włościan naszych dotknie, kto porówna to, co jada nasz wieśniak, z tem, co spożywa angielski, francuzki lub choćby niemiecki, ten przychodzi do przekonania, że odżywianie się polskiego ludu jest niedostateczne, że brak w pożywieniu mięsa i sera, a nie wszyscy używają dosyć mleka. Z warzyw zaś spożywa się zbyt wiele ziemniaków, a zamało roślin strączkowych. Włościanin zjada dużo strawy mącznej, wogóle wiele na objętość, a mało co do treści. Najważniejszem też jego pożywieniem jest chleb razowy i ten spełnia zadanie odżywiania stosunkowo najlepiej, rozumie się, o ile jest dobrze wypieczony. Kapusta w zimie a mleko przez rok cały uzupełniają ten pokarm, dając siły niezbędne do pracy, a strawieniu jego dopomaga ruch i praca na świeżem powietrzu oraz silny system nerwowy, nie nadwątlony pracą umysłową i życiem siedzącem, w murach miasta.

Zajmijmy się nieco rozpatrzeniem, jakie ulepszenia niezbędne są w warzywnictwie włościańskiem, za którego pomocą można najłatwiej osiągnąć poprawę stosunków w niezmiernie ważnej dziedzinie karmienia się ludu.

Pierwszym punktem, jaki tu napotkamy, będzie brak niezbędnych dla włościanina informacyi, według których mógłby warzywa hodować lepiej, niż dotychczas. Brakowi temu po części powinna zaradzić premiowana praca pani Karczewskiej: „O uprawie warzyw dla włościan“, napisana na konkurs Tow. ogr. warsz.“

Oprócz ziemniaków, uprawianych w polu i kilku „liszek“ kapusty, około łąki, pod inne warzywa przeznacza kmiotek nasz kawałek ziemi przy samej chacie, gdzie nader gęsto sieje trochę marchwi, buraków, pietruszki, czasami nieco fasoli. Kawałek jest mały, bo szkoda zdaniem włościanina, ziemi pod warzywa, a zwłaszcza szkoda żerdzi i roboty na ogrodzenie, niezbędne dla ochrony od świń, psów i domowego ptactwa. Wytwory, z tych ogródków warzywnych otrzymane, są zwykle bardzo liche: kapusta szara, będąca mieszańcem dzikim pomiędzy białą głowiastą a czerwoną, po większej części posadzona zbyt gęsto i nieobsypana lub też obsypana niedostatecznie. Zwija ona małe główki i dlatego, żeby było więcej, kwasi się wraz z liśćmi zewnętrznemi, dając strawę twardą, trudniej strawną, a mniej smaczną. Marchew długa, cienka i przeważnie żółta, buraki blade, inne warzywa z powodu gęstości siewu wątłe i niewyrosłe.

Na ogół włościanie hodują w złym gatunku warzywa wymienione, a nie hodują wcale lub wyjątkowo tylko: fasoli, zwłaszcza szparagowej, która w zielonych strączkach wyśmienitym jest pokarmem, nie mówiąc o znanej fasoli suchej; grochu, mianowicie cukrowego i pomarszczonego, najpodatniejszego na grochówki i soczewicy (bób miewają wśród ziemniaków), tej potrawy biblijnej, która w odmianie wielkiej jest pokarmem smacznym i bardzo pożywnym. Z kapust nie spotykamy: włoskiej, czerwonej, brukselskiej i jarmużu. Ten ostatni jest wybornym pokarmem zimowym. Dalej niema też u nich i kalafiorów, które w dobrej ziemi łatwo mieć można. Szpinak jest całkiem nieznanym. Doskonalsze odmiany sałaty, pożywienia smacznego i zdrowego, nie są znane.

Z warzyw korzeniowych nie widzimy: rzodkiewki, która przecież oprócz siewu, żadnej innej uprawy nie wymaga, ani rzepy. Rzodkwie hodują, ale nie w odmianach ulepszonych; kalarepy nie widać. Dodajmy jeszcze, że ogórków najczęściej nie napotyka się w ogrodach wiejskich — lub o ile są, bywają odmiany brzydkie i niesmaczne. Dynie prędzej widzieć można, ale angielskie dynie szparagowe, które się równie łatwo hoduje, a są smaczniejsze, nie znajdują się w żadnym warzywniku włościańskim. Pomidory są także nieznane.

Rozpowszechnienie znajomości dobrych warzyw pomiędzy włościanami dałoby się osiągnąć najprędzej przez sprzedawanie im dobrych, to jest świeżych nasion, w odmianach najodpowiedniejszych dla ich potrzeb. Sama uprawa, jakkolwiek nie postępowa, wyda prawie znośne rezultaty, jeżeli nasiona będą dobre. *J.*

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Wszystkie roboty wiosenne powinny teraz być już po największej części ukończone. Jęczmień, żyto latowe, owies, owoce strączkowe, buraki cukrowe i pastewne, rzep latowy, koniczyna i mieszanina są już zasiane. Przesypywanie kartofli trzeba także rozpocząć i sadzić je ku końcowi miesiąca. Na pola koniczyny sypać gips, jeżeli potrzeba, łąki zaopatrzyć w sztuczny nawóz i zraszać je. Flance tabaki hodować w inspektach, pleć ziemię starannie, aby się zielsko nie zakorzeniło i przycinać zbyt wybujałe listki, flance tabaki bowiem powinny być krótkie i mocne.

Hodowla bydła.

Bydło przyzwyczajać zwolna do paszy zielonej, mieszając z paszą suchą lucernę i t. d. Zachować jednak należy przytem wielką ostrożność, zbyt nagłe bowiem przejście może łatwo bydłu zaszkodzić. Trzeba też zważać na to, aby z powodu zmiany powietrza bydło nie było narażone na zaziębienie.

Klacze, świeżo ożrebione, pielęgnować troskliwie i nie używać ich prędzej do roboty, dopóki zupełnie do sił nie wrócą, co zwykle trwa 2—3 tygodni.

Prosięta odsadzić teraz — te zaś, które są przeznaczone do chowu, umieścić osobno i dawać im dobrego pożywienia.

Owce starsze, które mają być w jesieni zabite, naznaczyć, aby potem żadnej nie było omyłki.

Drób.

Kury, jakiejkolwiekbądź rasy, teraz najwięcej jaj składają. Nasadzać na jaja kury, kaczki, gęsi i indyczki, zważać zaś pilnie na porządek w gniazdach i pielęgnować starannie młode wylęgłe kurczątka i t. p. Nie zapominać też o strzeżeniu drobiu przed drapieżnemi ptakami, szczurami i łasicami, i nie wypuszczać młodych na deszcz i wilgoć. Kurom dawać zieleniny i świeżej trawy albo koniczyny. Młode kaczki można w pierwszych zaraz dniach wypuścić na wodę.

Ptaki pokojowe.

Młode kanarki, zupełnie już wypierzone, umieścić w osobnych klatkach, ponieważ zdarza się często, że stare nie mogą się z niemi zgodzić, wydzierają im piórka i gryzą je. Gniazdka wyczyścić i założyć je na tem samem miejscu, na jakiem były dotychczas. Teraz można też chwytać młode ptaszki leśne i oswajać je. Zagraniczne ptaki wylęgują w tym miesiącu młode.

Ryby.

Z powodu częstej zmiany powietrza w tym miesiącu, nie trzeba łowić ryb rano, tylko około południa, i to tylko w dniach ciepłych, w czasie lekkiego deszczu i mgły. Nie zapuszczać wędki na najgłębsze miejsca, trzymać się raczej średnich głębokości i używać wędki gruntowej. Z tem wszystkiem nie wypada połów teraz jeszcze zbyt świetnie. Rano i wieczorem rzucać rybom w sta

wach żer, t. j. odpadki mięsa, glisty i t. p. W niektórych okolicach, gdzie wielka obfitość raków, można też już rozpocząć połów ich, chociaż raki dopiero w maju są najlepsze.

Pszczoły.



Robota w pasiece zaczyna się teraz na dobre. Podczas kiedy zajęcie bartnika ograniczało się dotąd głównie na tem, aby zachować roje w spokoju i chronić je od rozmaitych niebezpieczeństw, musi on w tym miesiącu zająć się pielęgnowaniem czerwiu, jeżeli roje mają być silne i liczne. Przedewszystkiem powinny pszczoły mieć dostateczną żywność i ciepło. Żywności liczy się 3—4 funt. na 1 kószkę. — O wybębnianiu pszczół pisaliśmy już poprzednio. — Żywność dawać najlepiej wieczorem, naczynie zaś, w którem ją podano, usuwać nazajutrz wcześnie, przed wylotem. Trzeba do tego używać płaskich pudełek, te bowiem można najłatwiej pod otwory podsunąć. Jeżeli potrzeba, dawać pszczołom mąki — ale tylko po za kószkami.

Drzewa owocowe.

Spieszyć się z wysadzaniem drzewek i krzewów i z uszlachetnieniem wiosennem. Wysadzone i przesadzone drzewa, jeżeli powietrze suche, podlewać raz na tydzień, wysuszeniu zaś ziemi zapobiedz okładaniem drzewek długą, słomianą mierzwą. Starsze drzewa przesadzone posmarować wapnem, albo gliną i obornikiem. Pokrycie to powinno być na pniu i na głównych gałęziach. Drzewa szpalerowe opryskiwać rano i wieczorem — jeżeli sucho, powtarzać to trzeba codziennie. Kora zatrzymuje tym sposobem wilgoć i nie obumiera, a drzewa są zdrowe i nie dostawają raka i t. p. chorób. Należy teraz bardzo uważać na to, aby się robaki na liściach nie zagnieżdżały, najlepiej niszczyć je odwarem z tabaki i posypywaniem tabaką. Dobrym także środkiem na mszyce i t. p. jest woda pomieszana z spirytusem. (7 części spirt. i 3 cz. wody). Szkodliwe chrząszczyki otrząsać rano i niszczyć pilnie gąsienice. Drzewka aprykozowe i brzoskwiniowe okrywać zawsze jeszcze na noc, figowych zaś nie potrzeba już okrywać. Pączki oraz kwicie strzedz przed wróblami.

Winnica.

Przerabiać, uprawiać i obkopać ziemię w winnicy, aby zapobiedz zakorzenianiu się zielska. Przygotować wszystko co potrzeba do sadzenia nowych szczepów. Na końcu miesiąca nabrzmiewają oczka wina. Co zaś do wina w piwnicy, to można je teraz po raz drugi spuścić, ponieważ im częściej się to powtarza, tem prędzej wino staje się dojrzałem. Kto zaś chce jak najdłużej mieć wino świeże, ten nie potrzebuje go spuszczać wcale, jeżeli za pierwszem spuszczeniem wydzieliła się większa część młodzi. Piwnice należy często przewietrzać.

Warzywo.

W ogrodzie warzywnym też jeszcze niejedno pozostaje do ukończenia. Inspekta ciepłe trzeba starannie przewietrzać, podlewać flance i wyrywać zielska. Jeżeli banie i ogórki nie są dotąd zasiane, to teraz najwyższy czas na to, na melony jednak jest już za późno. Na zagony w ogrodzie można też już siać warzywa — flance, stojące za gęsto, przerywać, albowiem za gęsto stojące nie mogą się należycie rozwijać. Wyrastają za nadto, są cienkie, słabe, łamią się i gniją ostatecznie. Nasiona, które już zeszły, nakryć lekkiemi włóknami, aby wróble nie robiły szkody. Flance kapusty rychłej oraz sałaty wysadzać z inspektów na zagony, ale jeżeli w nocy bywają przymrozki, to trzeba je przykryć. Wcześnie zasiany groszek obkopać.

Ogród.

Ścieżki i ganki czyścić z zielska, sypać, jeżeli potrzeba, żwir, przekształcać klomby, zrównać trawniki i dokończyć wszystkie podobne roboty. Przerzedzone miejsca w obwódkach bukszpanowych zapełnić i obsadzać rabaty kwiatów myosotisem, silenami, auryklami, bratkami, primulami i t. d. Dzikie wino ichematis wiązać i obcinać. Rośliny liściaste, które stały dotychczas w zimnych oranżeryach, wystawić do ogrodu i wysadzać gwoździki, gladjole, mirabilis, dalje, oraz wszelkie cebule kwiatów, które jeszcze nie wypuszczają.

Kwiaty doniczkowe, o ile możności, wystawić także na świeże powietrze, ale w takim razie trzeba mieć zawsze pod ręką materyał do przykrycia ich, jeżeli noce są zbyt chłodne. Gwoździki w doniczkach przesadzić, kamelje także, po okwitnięciu. Od heliotropów, fuksyi, mirt i t. d. robić ablegry. — Teraz można też już rozpocząć sianie kwiatów doniczkowych w pudłach, przykrytych szklanemi płytami. *R.*

Wiadomości
dotyczące
handlu, przemysłu i rolnictwa.

Nowe firmy i przedsiębiorstwa.

Poznań. Przez trzy wieki z górą apteka pod Białym Orłem w Starym Rynku i to od samego jej patentem królewskim potwierdzenia należała do rodziny Jagielskich. Ciekawy dokument w aktach grodzkich złożony podaje, iż wówczas na Starym Rynku i w Poznaniu wogóle cztery od razu ustanowiono apteki: Pod Białym Orłem, pod Czerwonym Orłem, aptekę Jasińskiego i Mankiewicza, która później przeniosła się w górną część miasta. Świeżo aptekę pod Białym Orłem od p. Bolesława Jagielskiego nabył p. Józef Gierłowski, były właściciel apteki w Pyskowicach na Górnym Szląsku, potem obywatel i rajca miasta Środy. Szczęść Boże nowemu właścicielowi! Oby też przez trzy wieki i jego apteka pod Białym Orłem pozostała w rodzinie i to wśród pomyślniejszych dla nas wszystkich warunków! *G. W.*

Gniezno. Pan Antoni Gładysz otworzył w mieście naszem na Cierpięgach nr. 6-ty piekarnię.

Śrem. Do rejestru firm tutejszego sądu okręgowego zapisaną została firma „Michał Iwandowicz“. Właścicielem firmy jest kupiec, p. Michał Iwandowicz w Dolsku.

Czerniejewo. Pan hr. Skórzewski buduje w Pakszynie mleczarnię, która ma zostać otworzoną 1-go października r. b.

Śmigiel. Utworzyło się tu towarzystwo celem budowy parowej cegielni. Stanie ona na gruntach p. Kurnatowskiego.

KONKURSY.

Ogłoszono konkurs nad majątkiem: mistrza krawieckiego, p. I. Konieczeka w Gnieźnie, handlarki, p. Antoniny Schulz w Kłecku, zmarłego gospodarza Kaspra Grochowego w Dłużynie pod Śmiglem i kupca, p. Romana Mazurkiewicza w Wągrówcu.

Zniesiono konkurs nad majątkiem: kupca, p. L. Niedźwińskiego w Gnieźnie, zegarmistrza, p. Stanisława Koniecznego w Poznaniu, kupca, p. Ludwika Prochownika w Bydgoszczy i mistrza kuśnierskiego, p. Izydora Lewina w Wągrówcu.

Jarmarki.

Rogoźno. Na jarmark sprowadzono bardzo mało koni i bydła, a kupujących zjechało bardzo wielu. Widać było kupców aż z Saksonii, Pomorza i z prowincyi Nadreńskiej. Za dobre konie robocze płacono po 700 mk., za krowy dojne 300—400 mk., młodego bydła było bardzo mało, z powodu czego szybko je rozkupiono, płacąc za nie wysokie ceny.

Rawicz. Jarmark ostatni dwudniowy wypadł bardzo niepomyślnie, z powodu, iż dopiero przed kilkoma dniami zniesiono zakaz doprowadzania bydła skutkiem zarazy racic i pyska, o czem kupcy z dalszych stron nie byli z pewnością uwiadomieni. Jarmark na towary kramne był tak lichy, że niektórzy już w pierwszy dzień w południe budy swoje pozwijali.

Września. Wiosenny jarmark był nieszczególny. Koni spędzono około 300 z tych 100 sztuk z Polski, za które płacono 200 do 300 mk., bydła rogatego spędzono również około 300 sztuk, za krowy dojne płacono 200- 250 mk., za tłuste bydło 38 do 40 mk. za centnar żywego mięsa, nierogacizny spędzono około 350 sztuk, za 4—6 tygodniowe prosięta płacono 18—20 mk. za tłuste świnie płacono 38—40 mk. Cielą, nie było wcale. Targ na zboże wypadł licho.

Subhasty.

Nieruchomość we wsi Chomiąży szlacheckiej pod nr. 6 położona, należąca do gospodarza, p. Wojciecha Gawrycha, sprzedaną będzie w sądzie okręgowym w Łabiszynie, dnia 26-go kwietnia r. b. o godz. 9-tej przed południem.

Nieruchomość w Bydgoszczy pod nr. 1775 położona, należąca do rodzeństwa Dawidsohnów, sprzedaną będzie celem działów, dnia 25-go maja r. b. o godz. 9-tej przed południem w sądzie okręgowym w Bydgoszczy. Wartość użytku do podatku budynkowego oszacowaną jest na 4964 mk.

Nieruchomości w Krzywiniu pod nr. 400 i w Jerce pod nr. 101 położone, należące do małżonków Jana i Weroniki z domu Snowackiej Kochowiczów, sprzedane będą w sądzie okręgowym w Kościanie, dnia 30-go czerwca r. b. przed południem o godz. 10-tej. Wartość użytku do podatku budynowego oszacowaną jest na 1020 mk.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Kupiec p. Franciszek Owczarek i żona Pelagia z domu Gajke z Wildy pod Poznaniem, dawniej w Gnieźnie zamieszkali. Kupiec p. Mieczysław Matuszewski i żona Antonina z domu Müller z Śremu, dawniej w Szamotułach zamieszkali. Właściciel hotelu, p. Leon Czarnecki i żona Mieczysława z domu Mroczkowska z Pleszewa, dawniej w Kępnie zamieszkali. Inspektor gospodarczy p. Wincenty Zenkteler z Dakowych mokrych i panna Anna Sztiler z Buku

Kupno i sprzedaż.

Poznań. Pani Paulina Kantorowicz sprzedała swą kamienicę na placu Działowym nr. 7 p. S. Salomonowi, kupcowi zbożowemu za 180,000 mk. — Gospodarz p. Jan Pflaum z Wildy sprzedał 20 mórg za 110,000 mk. właścicielowi cegielni p. Schwersenz i Spółce z Wrocławia. Stanie tam niebawem fabryka obrabiania surowego drzewa. — Na Wildzie sprzedał gospodarz p. Bajerlein około 17 hektarów (około 65 mórg) ziemi, hektar po 1200 mk. kupcowi Baumgartowi.

Gąsawa. Właściciel dóbr rycerskich, pan Paruszewski sprzedał wieś swą Obudno panu Mlickiemu za 700,000 mk.

Inowrocław. Pani Dąbska sprzedała majątek swój Mochelek w powiecie inowrocławskim Niemcowi, za 340,000 marek. I tak znów przeszło 1000 mórg ziemi ojczystej dostało się w ręce obce.

Majątek rycerski Zduny w powiecie inowrocławskim, obejmujący około 1500 mórg obszaru, nabył od dotychczasowego właściciela Niemca, p. Timma, p. Podlaszewski z Opok. Zduny znajdowały się od dawna w posiadaniu rodzin niemieckich.

Pleszew. Kupiec p. Fränkel odprzedał niedawno nabyty grunt przy ul. Poznańskiej gospodarzowi p. Klimeckiemu za 30,100 mk.

Wągrówiec. Wdowa p. Żółkiewicz sprzedała swoją posiadłość położoną przy szosie kcyńskiej za 23,000 mk. kupcowi p. Schwinke, a kupiec Abraham swój grunt, położony przy ul. Klasztornej, sprzedał malarzowi p. Bogackiemu za 18,000 mk.

Biskupiec. Piękny szmat lasu, bo 400 mórg obszaru, idzie pod siekierę. Zakupiła go firma Hinz z Torunia za 60,000 mk. od p. Brunner z Raszuny i rudowanie wnet rozpoczną.

Brodnica. Majątek Przydatki pod Brodnicą, przeszło 800 morgów obszaru nabył na subhaście p. W. Siudowski z Swierczyn. Majątek ten należał przedtem do p. Binnemanna — Niemca. — Nowemu nabywcy „Szczęść Boże“.

Dział kobiecy.

Grzechy języka.



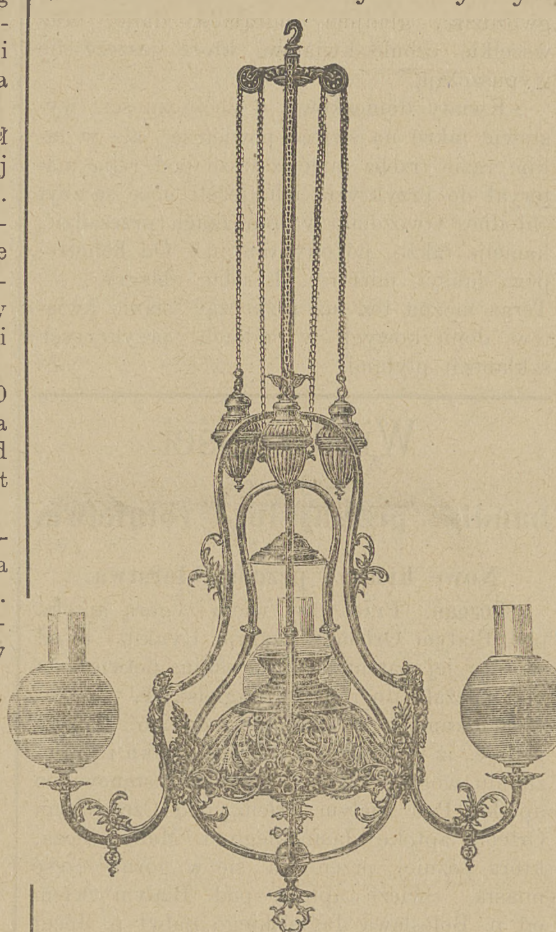
Pomiędzy wielu złemi rzeczami jest jedną znajgorszych — „ostry język“, mówi już Euripides - a w Piśmie św. czytamy: „Język małym jest członkiem, a wiele wyrządza złego“.

Niejeden spokój duszy został już zakłóconym, niejeden węzeł przyjaźni zerwanym, niejedno szczęście zniszczonem „grzechami języka“ — podstępnem pochlebstwem, kłamstwem, oszczerstwem i owem złośliwem, obawę wzbudzającem „on dit“, t. j. powtarzaniem tego, co jeden mówi o drugim.

To „ludzie mówią“ jest wszędzie i nigdzie; pod maską baranka wciska się w towarzystwo i z niewinnym uśmiechem igra na różowych ustach kobiecych.

Już to przyjaźń bardzo musi być serdeczną i wypróbowaną, jeżeli się ostoi plotkom; wszelkie bowiem potwarze zostawiają po sobie jakieś źródło, a śmiertelna trucizna, której język był pełen, pochodzi często z bezmyślnej może gadatliwości, będącej jednak blizką kłamstwu i oszczerstwu.

„Ludzie mówią“ może słusznie, że kobiety są skłonniejsze do plotek niż mężczyźni. Polega to czasem pewnie na braku zajęcia, a może też jest spuścizną Ewy, bo ciekawość faworyzuje aż nadto obmowę. I tak plotka wszędzie jest w domu. W salonie arystokratycznym,



Model kandelabra salonowego.

w skromnym pokoju mieszczan, w warsztacie rzemieślnika, w teatrze, na ulicy — wszędzie spotkać ją można, podkopującą szczęście i spokój rodziny, i zabijającą cześć i honor ludzi.

Ale nietylko kobiety zajmują się plotkami, „są i usta ocienione wąsami“, mówi jedna z nowszych powieściopisarek, „które umieją z taką samą zręcznością rzucać zatrutemi słówkami, jak najostrzejsze w świecie języki kobiece.“ O, zapewne, i panowie plotkują dzielnie, mianowicie gdy siedzą przy kieliszku lub kufelku, wszakże niejeden, wróciwszy do domu, opowiada żonie, o czem słyszał — tylko że dla plotek mężczyzn łagodniejsze istnieje określenie — tam nie mówi się „plotka“ tylko „rozmowa o najnowszych wiadomościach“.

Jeżeli w towarzystwie toczy się rzeczywiście rozmowa o nowinach dnia i o znajomych, a nieobecnych, to jest prawie niemożliwem, aby tu lub tam nie padła jaka złośliwa uwaga. Każdy bowiem odkrywa łatwiej u innych błędy, niż zalety, a że błędy są zwykle więcej zajmujące, przeto też się chętniej o nich mówi, zapominając, że życzliwość dla bliźnich pierwszym jest obowiązkiem. Najgorszem jednak jest, jeżeli ktoś powtórzy wszystko temu, o którym rozmawiano, bo czasem rzeczywiście nie było nic tak bardzo złego, może dowcip jakiś lub c. p., a słowa te powtórzone, już się w zupełnie innem przedstawiają świetle. Główną rzeczą jest ton, w jakim się coś mówi, a powtarzając plotkę, nie zawsze się o tem pamięta. Przypomina mi się przy tej sposobności owa anegdotka o czytaniu listu. Otóż córka pisze do ojca z prośbą o przysłanie jej pieniędzy na suknią balową. Ojciec zarzucił okulary i każe list ten czytać starszej córce, która zazdroszcząc siostrze zabawy i sukni, przeczytała prędko i szorstkim tonem: „Kochany ojcze, proszę cię o pieniądze, muszę mieć nową suknią balową“ itd. Ojciec rozgniewał się. „Nie dam ani grosza“, zawołał, „takim rozkazującym tonem nikt do ojca nie pisze!“ I opowiedział całą sprawę żonie. „Przeczytaj sama,“ dodał, „a uznasz że mam słuszność.“ Matka wzięła list. „Nie widzę tu nic rozkazującego“, rzekła, „przeciwnie“ — i przeczytała te sama słowa zupełnie tylko innym tonem. „A tak, to co innego,“ odpowiedział ojciec, i pieniądze zostały natychmiast wysłane.

Obmowy i plotki są najczęściej wynikiem zbytniej gadatliwości. Gdzie przeważa fantazja i ruchliwość uczucia, tam panuje wielomówność, gdzie przeważa wola i rozwaga, tam panuje milczenie. — Ludzie bardzo rozmowni mniej są czynnymi i przeciwnie. Że zaś kobiety zwykle więcej mówią, niż mężczyzni, przeto przypisuje im świat więcej skłonności do plotek, a mniej czynności do czynów.

Są kobiety bardzo mądre i — mniej mądre. O pierwszych „powiadają“, że myślą tyle, że nie mają czasu na rozmowę, o drugich zaś, że mówią tyle, że nie mają czasu na myślenie. A że słowa nasze pozyskują nam więcej nieprzyjaciół, niż czyny, przeto kobiety małomówne wychodzą lepiej na tem. I dwojakie są milczenia: jedni milczą z braku myśli, drudzy z nadmiaru myśli, a jedni i drudzy mają słuszność.

S. D.

Nr. 17. Poznań, niedziela 23-go Kwietnia 1899. Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

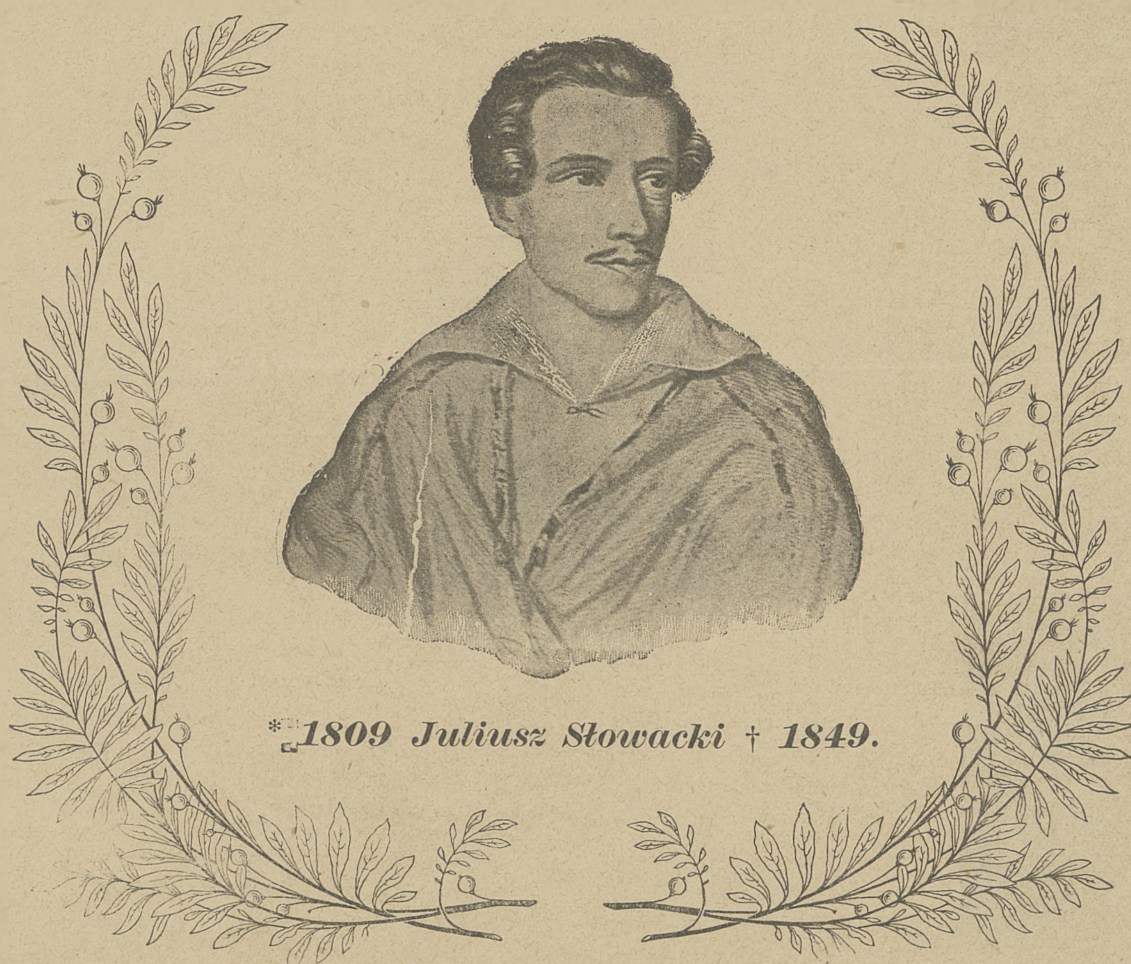
Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata **na pocztach tylko 1 markę** kwartalnie.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen. z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.



**1809 Juliusz Słowacki † 1849.*

O, Polsko! Polsko! Święta, Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy... wspomnij ty o nas, o, wspomnij.
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta:
A nie zapomnisz ty o nas o, Święta.

(Juliusz Słowacki.)

W półwiekową rocznicę zgonu

Juliusza Słowackiego.

Dnia 3-go bm. upłynęło lat pięćdziesiąt od śmierci jednego z największych poetów polskich, należącego do nieśmiertelnej trójcy parnasu polskiego — Juliusza Słowackiego. Zmarł on zdala od kraju, na rękach nieomal późniejszego arcybiskupa warszawskiego, ks. Felińskiego, wówczas jeszcze młodzieńca, „Felusiem“ zwanego przez poetę.



Euzebiusz Słowacki
(ojciec Juliusza).

Za życia mało znany czytającej publiczności polskiej, gdyż wszystkie swe utwory drukował zagranicą, wskutek tego źle lub fałszywie oceniany, po śmierci doczekał się dopiero nietylko sądu sprawiedliwego, ale entuzyazmu dla siebie. Przez swój poetyczny pogląd na świat i ludzi, dzięki barwności niesłychanej języka, który w jego ręku gnie się i urabia, jak najposłuszniejsze narzędzie, dzięki bogactwu obrazów, lotności fantazyi,



Salomea z Januszewskich Słowacka,
secundo voto Becu, matka Juliusza.

słowem tego wszystkiego, co stanowi poezyę, będzie on zawsze poetą młodzieży, dusz rozmarzonych i sennych, rozkochanych w fantastycznych postaciach i pejzażach, w cudownej dźwięczności i muzyce słowa.

W literaturze, w wyobraźni ogółu na romantycznym nieboskłonie polskiego piśmiennictwa, obok lwiej postaci Mickiewicza, obok melancholijnego autora „Nieboskiej“ rysować się będzie zawsze drobna, nerwowa, jakby ze starego mszału średniowiecznego wycięta sylwetka Słowackiego. Będzie on zawsze jedną z migotliwych, przybierających wszystkie barwy tęczy gwiazd polskiego Oryona poetycznego. Miał on niewątpliwie życie poetyczne, o które zawsze Boga błagał, możliwe zresztą tylko w tej epoce, pełnej snów jeszcze, które się nigdy, niestety! spełnić nie miały, i na tem tle chmurnem, oblanem blaskiem zbliżających się burz, rysuje on nam się jak widmo fantastyczne, jak kometa ognista.

Z pośród trzech poetów naszych doby klasycznej — Słowacki miał największy dar władania po mistrzowsku językiem.

Ani Adam Mickiewicz, ani Zygmunt Krasiński nie miał tak bujnej wyobraźni, tak bogatej fantazyi, a szczególniej tak poetycznego języka, takiej niezrównanej siły, barwności, wdzięku, uroku, czarodziejstwa słowa. Pod tym ostatnim względem nie dorównał mu pono żaden z poetów nowożytnych.

Przypominamy tu, co w tym względzie pisał Krasiński w liście do Słowackiego r. 1840, iż

„posiadł język polski, tak, jak się posiada kochankę, gotową na każde skinie-



J. Słowacki
„w wieku dziecięcym, pod postacią Amora.

nie... na śmierć, gdy każesz — na życie, gdy spojrzysz — posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, lecz język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: „ot, cały twój jestem: każ, a posłucham, zawołasz — przybiegnę, mrugniesz w niebo — polecę tam, wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła, chcesz, bym stwardniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił — patrz, jam błękitny i znów śniady, a przezroczysty płynny, prawie już nie będący, jednak zawsze twój“.

W liście zaś do Załuskiego tenże Krasiński tak się o języku Słowackiego wyraził:

„Styl, którym włada Juliusz, tak jest giętki, tak wierny jemu, tak niewolniczo słuchający go, że przypomina „heroizm niewoli“ w chłopie słowiańskim. Nie sposób z językiem i z wierszem trudniejszych dokazywać cudów. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Gdyby słowa języka polskiego mogły stać się indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem: „*Patri Patriae*“.

Słowa te natchnęły Słowackiego do przecudnych wierszy, gdy mówi o swym języku poetycznym:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skargi Nimfy, miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.

Życie tego niepospolitego człowieka było równie niezwykłem jak jego natura, niepohamowana, nieznosząca kontroli i zależności. — Zrazu ulegając namowom rodziny Słowacki wstąpił do służby rządowej w Warszawie, gdzie na początku r. 1829 został nadetatowym urzędnikiem w ministeryum skarbu, zarządzanem przez księcia Lubeckiego. Dwa lata zbiegły w sposób dość bezbarwny i jednostajny. Przy schyłku listopada 1830 r. wybuchło powstanie. Słowacki dał się naprzód poznać publiczności, jako autor kilku pieśni, pełnych narodowego a rewolucyjnego ognia; lecz zapał wkrótce począł słabnąć; delikatne uczucie poety obrażały przedrzeźniające uroczystemu ustrojowi komiczne objawy i dysonanse, towarzyszące wszelkim ruchom narodowym, a zwłaszcza zawierusze 1830 r. Wśród najgorętszego żaru powstania, w najpomyślniejszych jego chwilach Słowacki, bez poprzedniego porozumienia się z matką, nagle w marcu 1831 r. wyjechał za granicę, wziąwszy paszport od rządu rewolucyjnego. Wyjazd ten roztrzygnął stanowczo dolę poety: rozstał się on z krajem nazawsze, późniejsze bowiem wypadki pozbawiły go możności powrotu. Skazał się sam na tułactwo, na los włóczęgi, co żył i drukował swe utwory, dzięki skromnym funduszom, jakie nadsyłała matka; bo Juliusz, troszcząc się jedynie o sławę pośmiertną, nie myślał nawet o wyborze zawodu, któryby mu kawałek chleba zapewnił. Wyjazd za granicę niczem nie był umotywowany. Przyczyny tego kroku stanowczego są zagadkowe: wiadomo tylko, że miały czysto osobisty charakter. Z zagranicy już nigdy do kraju nie wrócił.

JULIUSZ SŁOWACKI.

W nieszczęściu darmo rozpamiętywać szczęście, to rzecz przykra bardzo i bolesna; w tej myśli jak w każdym innym aforyźmie, zawarta tylko połowiczna i względna prawda; pewno, że ożywiając w pamięci minione szczęścia dni, tem boleśniej się odczuwa nieszczę-

ście i niedolę dźwigać przyszło, ale czyż nie czerpie się również z tych promiennych wspomnień siły i otuchy i nadziei na przyszłość? To też ten najprostszy popęd samozachowawczy każe człowiekowi pogrążonemu w niedoli — odnawiając ranę — przenosić się myślą w minione szczęście, w dawną wielkość, a tem ożywiać się i krzepić na przyszłą życia walkę. W dzisiejszej więc ciężkiej doli my wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni i ubodzy nie zapominajmy o tem, że i my mamy Wiedeń i Kirchholm i Unię lubelską i Grunwald a Tannenberg i Psiepole, że i my mamy Kopernika i Kochanowskiego i Skargę i Lelewela, i poetów naszego wieku Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

Rok miniony, jako stuletnia rocznica narodzin Mickiewicza, jego był poświęcony czci i jego pamięci; nietylko jak dawna nasza Polska długa i szeroka, ale wszędzie gdzie polskiej mowy dźwięki brzmiały i polskie serca biły obchodzono uroczyście pamięć jego, więc w Rosyi, w Austryi, w Francyi, we Włoszech, w Niemczech, w Anglii, w Ameryce; był to dług, jaki naród jednemu z największych swych spłacał.

Obecnie pół wieku mija, że zamknął na wieki oczy Juliusz Słowacki, zarówno z Mickiewiczem bohatyr poezyi naszej, ten który sam powiedział, że on i Mickiewicz to

„dwa na słońcach swych przeciwne bogi.“

Płonne to i niewdzięczne pytanie, który z nich większy? Każdy z nich ma swój odrębny charakter i swoję wielkość dla siebie, a wielkość każda własną miarą winna być mierzoną.

O Słowackim nieraz mówią, że jako poeta mniej jest narodowym niż Mickiewicz; może to i prawda: największe dzieło Mickiewicza „Pan Tadeusz“ tak jest na wskroś narodowe polskie, że wszystkich jego piękności ocenić i głęboko odczuć nie może czytelnik nie Polak. O utworach Słowackiego tego powiedzieć nie można, lecz wynika ztąd, by zgoła narodowym nie był. Toż on stworzył i Pieśń legionu litewskiego i kulik, w którym synowi od trumny ojca i panu młodemu od ołtarza i oblubienicy do boju za kraj iść każe; on napisał Jana Bieleckiego, a bohater ten jego, chociaż dla zemsty osobistej naprowadził na wrogiego sobie pana Turków, to przecież budzi się w sercu jego miłość do ziemi ojczystej; boleje nad tem, że zmuszony jest uchodzić do kraju, w którym „jest wszystko, wszystko — prócz tej ziemi“ a słysząc w kościółku wiejskim przekleństwo na siebie rzucone pada nieżywy u proga. — Słowacki chciał w dramatach swych wskrzesić i ożywić postacie starych podań i dziejów słowiańskich; prawda, że postacie te choć noszą słowiańskie, polskie nazwiska i stroje, często mniej mają w sobie polskiej krwi i wyłącznie polskiego ducha: w Słowackim człowiek brał zwykle górę nad patryotą Polakiem, biorąc *figury* polskie a dając im ogólne ludzkie uczucia nie stwarzał zazwyczaj polskich *typów*.

To też do najlepszych i najpiękniejszych utworów jego należą te, w których dał wylew uczuciom ogólno ludzkim i tak „w Szwajcaryi“ i „Ojciec Zadżumionych“. Te żale zrozpaczonego kochanka, który „umiera z żalu, usycha z tęschnoty“, będą zawsze i wszystkim zrozumiałe, a cóż mówić dopiero o rozpaczy ojca, któremu anioł pomoru żonę i dzieci siedmioro zabrał, a on powraca samotny na Liban do swojego domu i zdaje mu się, że chmurki na niebie i pomarańcze w ogrodzie litują się sieroctwu jego i pytają: „Starcze, gdzie są twoje córki?“ Kilka okropnych śmierci w jednym poemacie opisać, nie stać się monotonnym, dać zawsze żywy, i wstrząsający do głębi obraz skonu, ileż na to potrzeba było głębokiego uczucia, ileż prawdziwego artyzmu! Jeden tylko Słowacki z naszych poetów największy *artysta* mógł wyjść zwycięzko z tej próby, stworzyć poemat, który zawsze piękny, zawsze świeży, zawsze wzruszający będzie. W całej naszej literaturze jeden jeszcze tylko mamy utwór, który z tem arcydziełem mierzyć się może, „Treny“ Kochanowskiego na śmierć Urszuli jego wdzięcznej napisane.

Jeżeli zważymy, że Kochanowski własny swój ból opłakuje, Słowacki zaś wczuł się tylko w duszę „Ojca Zadżumionych“ a przecież nie mniej w poemacie swym jest szczerym i prawdziwym i porywającym, zrozumiemy jak musiało głęboko czuć i kochać to serce wrażliwe a smętne.

Ten smutek głęboki nad samym sobą i nad całą ludzką dolą i niedolą to struna, która zawsze u Słowackiego się odzywa i na dnie leży prawie we wszystkiem co napisał.

Bo i tu i tam za morzem i wszędzie
Gdziekolwiek poślę przed sobą myśl bie-[dną
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno
I wszędzie mi źle i wiem, że źle będzie,
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie znaleść miejsce na smutek łaskawe,
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O serce moje rozdarte i krwawe . . . .

Że człowiek tak tkliwy i tak czuły na wrażenia zewnętrzne w szał namiętności wpadał, gdy go zadraśnięto, toż to nic więcej tylko bardzo naturalne; serce zdolne kochać szczerze, umie i szczerze nienawidzieć, tem się tłomaczą ostre, namiętne słowa, które Słowacki na przeciwnika swego miotał; każde słowo takie, to serca jego kawał, który on

„zamieniał w pioruny i w twarz jemu ciskał“.

A przecież i w chwilach takich szalonych uniesień Słowacki w tem, co pisze, jest zawsze skończonym artystą, zawsze pięknym, nigdy pospolitym.

Dla tej to gorącej namiętności swej Słowacki jest u ogółu stosunkowo mało lubionym, mało popularnym.

W ostatnim czasie zamiłowanie dla Słowackiego wzmaga się widocznie; półwiekowa rocznica śmierci jego jest zewnętrzną tego przyczyną. Niechże „szlachetni“ znajdą i dla niego w sercu swem kątek, niechaj się poeta ten, który wyrzucał słowa pełne łez, krwi i błyskawic świetnych narodowi coraz to droższym i coraz bliższym staje. On stworzył najpiękniejszy język poetyczny, jakim nikt ani przed nim, ani po nim nie pisał. To jego wielka narodowa zasługa, tem jest on iście narodowym poetą.

Obecnie zbierają już i składkę na sprowadzenie zwłok jego z Paryża na Wawel, by spoczął wśród wielkich synów Ojczyzny i by nam w kraju przybyła jedna życia pełna mogiła więcej, nowa twierdza siły.

Będzie i to dług, jaki naród spłaci wielkiemu synowi swemu, wobec którego grzeszy dotąd obojętnością, na jaką Juliusz Słowacki nie zasłużył, a jaką przeczuwać się zdawał, mówiąc:

I ja mam także kraj łąk pełen kwietnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także *mnie kochać powinna.*

Dr. Stefan Waszyński.

Mickiewicz i Słowacki.

Nie mógł być Słowacki taki, jak Mickiewicz, bo był nietylko mniejszy, ale i młodszy. Gdy się odezwał po raz pierwszy, naród posiadał już wzór i kodeks nowożytnej poezyi polskiej. Temu, kto Polskę tym wzorem obdarzył, nie można było wydzierać zasługi. Mickiewicz dał nam poezyę wieku naszego; kto po nim przyszedł, przędł tylko tę nić złotą dalej.

Był młodszy, więc musiał być inny. Umiał jeszcze wierzyć, jak tamten, ale umiał już także wątpić i rozpaczać. Starszy był wychowańcem ludzi zdrowych, ludzi, których wiek XIX nie zatruł jadem bezbrzeżnego smutku i samobójczej ironii; młodszego wychowywano już w atmosferze innej.

Wyniósł z niej miękkość, chorobliwość, nerwowość, wyniósł z niej to kurczowe miotanie się ręki, które sprawia, że żadne jego dzieło nie jest jednolicie doprowadzone do końca, że największe między niemi są poszarpane i pogięte. Ale zarazem wyniósł z niej to, co go czyni dla potomnych zrozumialszym, niż dla współczesnych.

Posiadł już wcześnie tę wrażliwość właściwą dzieciom wieku, ten dar chłonięcia obrazów w głąb duszy i „odtwarzania“ ich nie w tej postaci, w jakiej po raz pierwszy odbiły się na siatkówce, ale w tej, w jakiej wryły się tam głęboko na dnie. Mickiewicz pamiętał po dwudziestu latach scenę czy krajobraz, które go zajęły. Słowacki, jak tylu późniejszych, zapisał sobie żywiej stan, w jaki wówczas przed laty pod wpływem wrażenia zapadła własna jego dusza. Posłuchajmy, co mówi o stepach, w których kwiat dla Boga rośnie i usycha, a mogiły krzyżami z sobą prowadzą rozmowy, posłuchajmy, co mówi o krainie północnej, która piękna jest, bo jej śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a mewy, które tam przylatują, gnieżdżą się i kochają, nie myśląc, że jest piękniejsza ojczyzna, — posłuchajmy, skargi Horsztyńskiego, który czuje woń ciepłego wieczoru i słyszy głos żniwiarzy, choć wzrok nic mu już o świecie nie mówi, posłuchajmy kantyczek „Złotej czaszki“, a udzieli nam się coś z tych wstrząśnień, którym ulegało jestestwo poety, gdy wątłą ręką przewracał pożółkłe karty ksiąg zeszłowiecznych.

Mickiewicz wykołysał poezyę naszą, był jej piastunem i prawodawcą. Do Słowackiego ciągnie coś młodszych poetów, jak do starszego brata, który ich zrozumie i wysłucha...

Dwie pamiątki

po Juliuszu Słowackim w Poznaniu.*)

O pobycie Juliusza Słowackiego w Poznaniu na wiosnę pamiętnego 1848 roku zawdzięczamy zgasłemu niedawno pomiędzy nami Julianowi Bukowieckiemu kilka nader zajmujących szczegółów, serdecznie i rzewnie skreślonych w artykule jego, umieszczonym w „Dwutygodniku dla kobiet“ (Poznań, 1881 nr. 9, p. 69) p. t.: Z moich wspomnień o Słowackim. Jak wiadomo, przybył Słowacki około 10 kwietnia 1848 roku do Poznania, gdzie w gościnnym i zacnym domu PP. Bukowieckich (Piekary nr. 12 I piętro) czułą i troskliwą znalazł opiekę, z której jednak nie długo mógł korzystać nieszczęśliwy poeta, gdyż niebawem stanowczy rozkaz policyjny zmusił go, coś około 10 maja, bez zwłoki opuścić stolicę Wielkopolski. Otóż opisawszy wiernie i z możliwą dokładnością, co po latach z górą trzydziestu z młodocianych wspomnień i wrażeń o Słowackim przechowało się jeszcze w pamięci, nie doniósł nam jednak Bukowiecki bliżej i dokładniej o owej ksiedze pisma św., którą, jak pisze w artykule swoim, złożył Słowacki do rąk jego ojca — a zaniedbał całkowicie, powodowany, jak się zdaje, skrupułami nieuzasadnionej w tym razie skromności, wspomnieć o liście, który Słowacki później z Paryża dnia 5 września 1848 roku dał znać o sobie pani Bukowieckiej, w rzewnych i uroczystych słowach dziękując za doznane w jej domu gościnny przytułek i opiekę.

Wspomniana księga pisma św. jest to Nowy Testament w przekładzie X. Jakóba Wujka, wydany z licznemi illustracyami, nakładem J. Baumgaertnera w Lipsku 1844 r. Księga, formatu wydłużonej nieco ćwiartki, oprawna jest w zwyczajny półskórek brunatny. Na białej drugiej z początku karcie znajduje się w górze na prawo następująca własnoręczna Słowackiego dedykacya:

W domu W. Bukowieckich
wracający z emigracyi
Juliusz Słowacki
gościnnie przyjęty i schroniony
tę xiążkę na pamiątkę
zostawił.
Poznań, 2 Maja 1848 r.

Piękny list Juliusza do Pani Bukowieckiej brzmi zaś jak następuje:

Pani!

Po wielu wędrówkach niespokojnych, po wielu usiłowaniach bezskutecznych, wróciłem do mego spokojnego schronienia w Paryżu, gdzie od miesiąca już przeszło zostając, często przemyślałem, jakimby sposobem przypomnieć się domowi, w którym z taką łaskawą gościnnością przyjęty byłem. Wiele na tem cierpiałem, żem przymuszony był wyjechać z Poznania i porzucić dom, nie pożegnawszy wszystkich Osób tej Rodziny, z których każda ma wieczne prawo do mojej wdzięczności i uwielbienia. — Lecz nadewszystko smutno mi było, i smutno jest dotąd, żem głowy mojej nie mógł schylić głęboko przed Pani osobą, że tej czci, którą dla Niej przejęty byłem, w ostatniej chwili pożegnania wyrazić nie mogłem. Bo wierz mi Pani, szczerze to powiem, nigdy jeszcze charakter Matki Polki nie stanął przedemną w takim majestacie, jakim był, gdyś Pani, wśród nieszczęść rodzinnych, mimo łez wylanych całym światłem i całą powagą patryotyzmu świeciła. Nigdy nie zapomnę ani żałoby, którąś była okryta, ani tej energii, z którą syna swego oddawałaś obowiązkowi i Bogu. I dla tego to, błogosławię okolicznościom, które mię pod dach Pani zaprowadziły, które kilka chwil pod Jej opieką przeżyć mi dały: bo widzenie tak wielkich cnót zostało mi skarbem wiecznym w pamięci, i przez uczucie czci, ciągle mię łączy w duchu z Jej domem.

Przy tym głównym uczuciu uwielbienia, które tu wyrazić musiałem, wierz mi Pani, że serce moje prawdziwie gotowe wziąść udział we wszystkiem, co się domu Pani dotyczy, jak serce domownika. Dla tego to, byłbym szczęśliwy dowiedzieć się, czyli Bóg raczył już ułagodzić boleść pani Korzkowskiej[1]) — ani też obojętną byłaby mi wieść, choćby najmniejsza, dotycząca się osób, które składają Jej szanowną rodzinę. — Z nieśmiałością więc zanoszę prośbę, nie do Pani, bo Jej powagi taką pracą trudzić bym nie śmiał, ale upraszam młodych synów pani, jako braci moich, aby mię choć w krótkim liście o teraźniejszym powodzeniu domu Pani zawiadomili.

Nie śmiem przedłużać listu tego; bowiem się lękam, aby wspomnienie osoby mojej, z tylu smętnemi zdarzeniami połączone, nie wywołało jakich bolesnych wspomnień w sercach, które radbym uleczone widzieć zupełnie i szczęśliwe.

Racz więc przyjąć Pani wyznanie moje najgłębszego uszanowania i chciej mi co polecić jako

życzliwemu słudze swemu.

Juliusz Słowacki.

NB. Nie śmiejąc osobnym listem utrudzać Wielmożnego Bukowieckiego — składam tu wyznanie głębokiego poważania i szacunku.

Paryż, dnia 5 Września 1848 r.
Rue de Ponthieu, No. 30.

Pisany na arkusiku formatu średniej ćwiartki list ten mieści się w podłużnej wązkiej kopercie, na której położono adres taki:

à Madame
Madame
Bukowiecka
à Posen.

Ponieważ na kopercie nie ma żadnego śladu pocztowego stempla, wnoszę, iż do przesłania niniejszego listu użył Słowacki pośrednictwa osoby prywatnej.

Bolesław Erzepki.

[1]) Najstarsza córka pani Bukowieckiej, poślubiona Korzkowskiemu, który zginął w bitwie pod Miłosławiem.

*) Powyższy artykuł udzielony nam został łaskawie przez dr. Erzepkiego, konserwatora zbiorów Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Poglądy społeczne i polityczne *Juliusza Słowackiego.*

Pomimo niedoścignionego artystycznego piękna swych utworów, pomimo czarodziejskiej swej władzy nad wierszem i językiem, Juliusz Słowacki jest, jak się zdaje, najmniej popularnym wśród wielkiej trójcy naszych poetów. Jako wyjątkowo silna duchem jednostka, jako charakter, odznaczający się nadmiernie rozwiniętą miłością własną i dumą, Słowacki w swych utworach rzadko kiedy umiał trzymać na wodzy chętkę do zaznaczenia swych politycznych poglądów, do schłostania ciernistym biczem swej satyry objawów i prądów mu niesympatycznych.

A że krytyka, którą Słowacki wywierał, była gryzącą i zjadliwą, a że satyra, którą smagać umiał niemiłosiernie, gdy zechciał — była zabójczą, więc w wielkim ruchu umysłowym emigracyi naszej Słowacki więcej zyskał wrogów, niż zwolenników: a mianowicie — że zwracał ostrze swego pióra najsilniej przeciw najsilniejszym: przeciw arystokracyi, jak gdyby chcąc swej siły spróbować na tych, którzy najwięcej oporu stawić mu mogli.

Poczęści dlatego dziś nawet jest tak mało popularnym, bo dziś jeszcze nawet niejeden z profesorów literatury polskiej, omawiając dzieła Juliusza, uważa za niezbędne i stosowne ostrą krytyką karcić jego radykalno-demokratyczne poglądy, jak gdyby to pył przeszłości nie pokrył już dawno śladów walki poglądów i nie pogodził zwaśnionych przeciwników!...

Przekonania społeczno-polityczne Juliusza Słowackiego były przekonaniami ducha wolnego, który uznawał potrzebę krytyki, który był wrogiem idealizowania upadku Polski, a dopatrywać się chciał przyczyn tego upadku *nietylko* w gwałcie i bezprawiu sąsiadów, *ale i* w wewnętrznym rozkładzie, w braku ludzi, w braku bohaterstwa.

Ten rys stanowczo wyodrębnia Słowackiego z pośród plejady poetów naszych owej doby.

Wtedy, gdy oczy narodu, bolesne i łzawe, zwracały się ku minionej przeszłości, ku wiekom chwały i blasku, a zapominając o wadach i nierządzie upadającej Polski, upatrywały tylko dobre i szlachetne w niej strony, wtedy, gdy Krasiński szlachetnem uniesieniem i ekstazą przejęty nazwał Polskę — *Chrystusem narodów* — wtedy Słowacki wołał ku niej: *ty jesteś narodów pawiem i papugą*, zamykając w tych przesadnych słowach nadzieję, że tylko zdrowe, krytyczne, z samoistnego rozpoznania faktów płynące czyny zbawić Polskę mogą, nie zaś odurzanie się kadzidłem minionej sławy.

I żaden z poetów ówczesnych nie miał na młodzież tak wielkiego wpływu jak Słowacki; żaden nie żądał od niej tyle poczucia osobistej godności, tyle ducha wielkiego i serca, żaden tak dobitnie nie powiedział jej, że ten brak ducha, ta połowiczność czynów, to chylenie czoła przed arystokracyą rodową — że to właśnie było jedną z przyczyn nieszczęść narodu.

Bardzo wyraźnie zarysowują się te myśli jego w następujących wierszach:

Więc polityczne moje falanstery,
Bądźcie mi zdrowe! I wy, co bez głowy,
Upadli z pańskiej, jak z niebieskiej sfery,
Arystokratów gracie — smętne sowy!
Co w grze myślicie bić, jak kozery,
Asa, choć będzie z sercem i laurowy;
Was także żegnam, bez broni rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.
Żeby choć jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! Ha! to mnie przestrasza!

Do arystokracyi Słowacki ma głęboki żal i wzgardę. Jako poeta, uważałby, że tak się wyrażę, za *„poetyczniejsze“*, gdyby z pogromu i upadku nie ocalał nikt, gdyby wszyscy, jak starożytni Spartanie, polegli byli na placu boju. Pisał rozgoryczony:

Niegdyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica...
Jam jednego znał szlachcica —
Kraj ich cały nie znał więcej.
Jeden tylko (Ad. Czartoryski?) serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś dawną sławą,
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma —
Poszedł gnić między królami —
Dziś go niema — i was niema.

W innym wierszu, w przedziwnej piękności utworze p. t. Grób Agamemnona oskarża swój naród o brak bohaterstwa w obronie niepodległości. A więc już nietylko arystokracyi, ale społeczeństwu całemu dostaje się ten wyrzut:

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego ilotów,
Z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów,
Z kraju, gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół rycerzy żywych,
Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku:
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce skruszy wstyd w każdym Polaku...
Na Termopilach, jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: „wielu was było?...“

Nie zamierzamy tu rozwodzić się nad tem, o ile uzasadnione, lub nie, były te wyrzuty. Rzucają one ciekawe światło na kierunek pojęć Juliusza, zwłaszcza, gdy się do nich doda jego znamienne słowa:

Biada, kto odda ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa!

Niejednokrotnie spotykamy u Słowackiego tę ostrą, nie liczącą się z niczem krytykę współczesnych. Nie raz posuwa się on w tej krytyce aż do kreślenia przesadnych karykatur; jak w poniższym, mającym dać obrazek Lechity:

..... Cóż to? — czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo —
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać *in verba magistri* —
Owczarstwo — czy to wszystko mam na twarzy?...

Obok tych tak obficie po dziełach Słowackiego rozsypanych urywków, zawierających krytykę arystokracyi rodowej, szlachetczyzny, wynoszenia się bez zasługi ponad drugich, niewiele znajdujemy myśli takich, z którychby wnosić można było, jakie były ideały społeczno-polityczne Słowackiego. Nie był on jednakże płytkich poglądów demokratą, którego umysł bawić mogą mrzonki o zaprowadzeniu bezwzględnej równości politycznej, a którego praktycznym programem jest podszczuwanie na arystokracyę rodową. Jako umysł wyższy, widział, że walka prądów demokratycznych z arystokratycznemi nigdy nie jest czem innem, jak tylko walką o zastąpienie pewnej zasady arystokratycznej zasadą inną, również arystokratyczną.

Więc też wypisał na swym sztandarze hasło *arystokracyi z ducha, nie z rodu*. Widzieliśmy już myśl tę, gdy marzył o „piersi miarą Fidyasza“, widzieliśmy także, gdy oburzał się na to, że arystokratyczno-rodowe „młódki“ chcą prym mieć przed „asem“ (oznaczającym człowieka, którego zasługi osobiste zapewniają mu pierwsze miejsce); w dramacie swym „Król duch“ posuwa się Słowacki jeszcze dalej, twierdząc, że nieraz potężna dłoń tyrana potrzebną jest, aby skrzesać z uśpionego moralnie narodu iskrę wolności. — Jest tu więc pewien fatalizm historyi, który, jak się zdaje, stanowi zasadniczą cząstkę poglądów Słowackiego na rozwój narodów i społeczeństw. Ten sam fatalizm, który przez śmierć i łzy, przez piekło i potępienie, prowadzi narody do wolności i wyzwolenia, odbija się wyraziście w następujących strofach *„Testamentu“*:

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode:
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec:
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę,
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Na tej niepłakanej trumnie dziś naród cały mu składa wieniec uwity z laurów i wawrzynu. Bo dziś ucichły echa walki, dziś już nie ranią i nie bolą zatrute strzały satyry, a wszechmogąca miłość ojczyzny, tak ukochanej przez Słowackiego, otoczyła skrzydłem swem całą jego postać, oczyściła jego ducha z ziemskich przywar i złożyła jako najcenniejszą perłę — wśród pamiątek narodu — w Panteonie literatury naszej.

Dr. Kazimierz Rakowski.



Hen, na dalekiej... na francuzkiej ziemi
Jest ciche miejsce, tęsknym sercom miłe,
Szemrze tam brzoza listkami srebrnemi
I smutne rosy trzęsie na mogiłę;
Na grób niekiedy padnie kwiatek świeży,
A pod mogiłą — wielkie serce leży!...

Przetlałe dawno w garść popiołu lichą,
W powiewów wschodnich zasłuchane szumie,
Leży to serce spokojnie i cicho,
W jakiejś królewskiej, przeraźliwej dumie
I tylko czasem buchnie strasznym szlochem
I krwią zapłonie... chociaż jest już prochem!...

Or—ot.

Ostatnie chwile Juliusza Słowackiego.[1]

Już się miało pod koniec życia Słowackiego. Z nadejściem zimy z r. 1848 na 1849 czuł się coraz gorzej, choroba piersiowa czyniła zatrważające postępy, co objawiało się w formie ciągłych, coraz częściej powtarzających się krwotoków, strasznie wyczerpujących ostatek sił poety. Mimo to, choć, jako ciało, nikł z każdym dniem, z czego sam sobie najdokładniej zdawał sprawę, na duchu nie podupadał: był najlepszych myśli, a patrząc na świat, czynił to z pogodą pewną, która jego schorowane oblicze jakby otaczała aureolą jakiejś seraficzności nieziemskiej. Czuł, że mu przyjdzie umrzeć niebawem, ale był przygotowany na śmierć, a że ją uważał za wyzwolenie się „z pod ciała ucisku“, więc nie bał się jej.

Poeta więcej, niż kiedykolwiek, osamotniony w ciągu tej ostatniej wiosny, jaką mu przeżyć było sądzono, więcej, niż kiedykolwiek, tęsknił za rodzinnemi stronami, do których się wyrywał całą duszą; że więcej, niż kiedykolwiek, tęsknił za matką, za krewnymi; że przeczuwając zbliżającą się śmierć, wolałby umierać wśród swoich, na ojczystej ziemi, a nie tu, w tym ogromnym i gwarnym Paryżu, gdzie przebył tyle lat na wygnaniu.

Feliński[2]) przychodził rano, a o ile poeta czuł się lepiej, o ile miał dość siły, ażeby zejść ze schodów, na które potem musiał wchodzić, co go najbardziej męczyło, wychodzili na ulicę, na słońce, na spacer. Albowiem trafiały się jeszcze takie dni, że Słowacki wychodził z domu. — Na kilka dni przed śmiercią — w piątek — napisał jeszcze krótki liścik, prawdopodobnie ostatni list, jaki napisał w życiu, a który, przejmująco smutny od początku do końca, brzmiał, jak następuje:

„Pani!

„Bardzo i bardzo źle z mojem zdrowiem. Jeżeli wyszedłem kilka razy, to w istocie tak, jak upiór, zdolny tylko szklanne rzucać wejrzenia na to słońce, które wkrótce przestanie przyświecać memu snowi.

„Przechodząc koło progów pani, jakaś niemoc i zarazem smutek nieprzezwyciężony odwrócił w inną stronę kroki moje. Wejść nie mogłem, — na serce się moje klnę, że nie mogłem. A jednak niech mi Pani wierzy, że z prawdziwem rozrzewnieniem myślę o tej dobroci, która i teraz tak troskliwie dopomina się o tę część smutku, którą wiem, iżby wzięła na siebie, gdyby mi tem ulżyć mogła.

„Ale wszystko próżno, Pani droga! przynajmniej w tych dniach takie jest przeświadczenie moje. Gorączki mię trawią, bicie serca powiększa się ciągle, a wewnętrzne uczucie osłabienia już mi bardzo mało nadziei zostawia. Proszę więc Pani o modlitwę i myśl dobrą, któraby wspólnie łącząc się z moją myślą, pomogła mi w tem weselu ostatecznem ducha, który półsenny widzi pęki otwierające się na drzewach i coraz głębiej zasypia — aż do nowej wiosny i dnia pełnego, w którym znów podniesie czoło i rozjaśni się nową radością.

„Żegnam Panią i obiecuję przyjść, jeżeli Bóg jeszcze pozwoli.

Wierny sługa
Juliusz Słowacki.“

Odtąd choroba czyniła zatrważające postępy: ostatnia chwila zbliżała się z przeraźliwą szybkością. Zwłaszcza noce były ciężkie: poeta, dręczony kaszlem i dusznością, nie mógł sypiać. W dzień, choć trawiony gorączką, był rzeźwiejszy, tak, że nie ustawał w pracy.

Dnia 1 kwietnia, kiedy Feliński przyszedł rano do Słowackiego, oświadczył tenże, że w nocy było mu tak źle, iż dnia nie spodziewał się dożyć. Po chwili zapytał go, czy nie zna jakiego ubogiego rodaka, którýby chciał sypiać u niego, gdyż czuje, iż śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak, niż obcy.

Kiedy się żegnali, poprosił go Słowacki, aby się udał do księdza Praniewicza z zapytaniem, czy może do niego przyjść z Sakramentami? Sprowadzony przez Felińskiego, przyszedł ks. Praniewicz, pomówił z poetą, a widząc, że jest źle, poszedł do kościoła po Sakramenta. Feliński i Pettinaiud zostali przy łóżku poety, obydwaj rozrzewnieni, ze łzami w oczach. Wtem wszedł portjer Millet, niosąc list, zaadresowany do poety. Słowacki, spojrzawszy nań, odrazu poznał charakter pisma matki, i na ten widok, twarz jego, smutna i bolesna do tej chwili, rozjaśniła się nagle. Ale był zbyt osłabiony, ażeby samemu rozłamać pieczęć, więc prosił o to Felińskiego, zarówno, jak i o przeczytanie listu. Feliński zaczął czytać, a poeta, przymknąwszy powieki, słuchał w skupieniu. Gdy Feluś skończył czytać. Słowacki otworzył oczy, wyciągnął ku Felusiowi swą chudą, delikatną, bladą — aż przezroczystą prawie — i rozpaloną dłoń, ujął go za rękę, i ze spokojnem rozrzewnieniem, głosem przerywanym, ale wyraźnym i spokojnym, rzekł po polsku: „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś, jakby na pożegnanie, list jej odebrałem i z myślą o niej umieram... Jaki Bóg dobry, że mi przed zgonem daje tu jeszcze tę wielką pociechę: pożegnanie i błogosławieństwo matki“. Tu umilkł, a po niejakiej chwili wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił dalej: „Wiara w nieśmiertelność ducha i w sprawiedliwość Bożą, jest nowym darem Stwórcy, nam udzielonym. Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Dotąd przeczuwano, że Bóg jest sprawiedliwy, ale, nie pojmując Jego sprawiedliwości, przypuszczano istnienie mnóstwa różnych kółek, za których pomocą Bóg wynagrodzi kiedyś niesprawiedliwość i cierpienia tego żywota. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość Bożą, bo ją pojmuję; tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stosownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką dziś oddaję go w ręce mego Stwórcy. Wszak prawda? Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi“.

Z TYGODNIA.

Kto wzmacnia w W. Ks. Poznańskiem żywioł polski i utrudnia germanizacyę? Takie pytanie rzuca niemiecki korospondent z Poznania do „Schlesische Volk-

[1]) Powyższy artykuł zaczerpnęliśmy z dzieła p. F. Hoesicka o Jul. Słowackim.
[2]) Przyjaciel.

zeitung“ i tak na nie odpowiada: Każdy, kto zna dobrze naród polski, wie, że Polacy mają zawsze całą moc nowych idei i zamiarów i że się do nich zapalają; zamiary te jednak w bardzo rzadkich tylko przypadkach w czyn wprowadzają. Wiedzą o tem Polacy sami i prasa polska bardzo często omawia ten „słomiany ogień“ u Polaków. Już dawno byłyby zapomniane niejedne narodowo-polskie aspiracye, gdyby u nas nie umiano Polaków gwałtem znowu wydobywać z letargu. Dowodem słuszności tego twierdzenia jest np. obecna sprawa prywatnej nauki polskiego czytania i pisania. Gdy przed 12 laty zaprzestano w szkołach języka polskiego, powstało w Poznaniu polskie Towarzystwo szkolne pod nazwą „Opieka szkolna“.

Z wielką ochoczością ofiarowano dobrowolne datki, aby umożliwić biednym dzieciom polskim pobieranie prywatnej nauki przez odpowiednie siły nauczycielskie. Z czasem jednak ustał zapał, jak zawsze, i z nim ustało także polskie Towarzystwo szkolne. Tylko pewna liczba dam — Polki są zawsze wytrwalszemi — pozostała wierną idei i każda uczyła bezinteresownie 1—4 dzieci polskiego czytania i pisania. Tymczasem wkroczyła teraz władza, dobrowolne nauczycielki otrzymały mandaty karne, zagrożono im więzieniem i t. d. Polonizm wzbogacił się o wiele politycznych męczenniczek — cały naród polski został ze snu zbudzony i czuje się w swych prawach głęboko dotkniętym. Prasa polska nawołuje teraz do założenia nowego Towarzystwa pod nazwą „Opieka pozaszkolna.“ Do Towarzystwa, które pewnie niezadługo zostanie założone, będą należały panie i panowie z arystokracyi, ale także robotnicy i ich żony. Z ust wielu Polaków, którzy znają swój naród, słyszeliśmy zdanie: „Jest doprawdy błogosławieństwem, że nam nie pozwalają zasnąć; w przeciwnym razie wielka część Polaków już dawno byłaby zapomniała, że nie jesteśmy Niemcami.“

Amerykański sztandar wolności staje się pospolitą płachtą, służącą do pokrycia chciwości zaborczej. Zabrano Kubę — w imię wolności! I cóż? Zamieniono tylko flagę hiszpańską na amerykańską, a rojenia o niepodległości odesłano *ad calendas graecas*. A Filipiny? Łuny pożarów, jęki mordowanych Tagalów idą w ślad za armią yankesów, kroczącą dumnie pod sztandarem wolności. A cóż się dzieje w samej Ameryce? Codziennie prawie donoszą dzienniki, że czarno i czerwonoskórna ludność Ameryki doprowadzona jest uciskiem yankesów do ostateczności i że każdej chwili, mianowicie w stronach południowych, spodziewać się można krwawych rozruchów.

Dla niektórych Stanów wypracowano osobną ustawę, na mocy której nie wolno analfabetom oddawać głosu; tak samo osobom, które dnia 1 stycznia 1867 r. nie posiadały praw głosowania. — Ale w r. 1867 większa część mieszkańców w stanach Carolina, Georgia, Indiana składała się jeszcze z niewolników i naturalnie głosować nie było jej wolno.

Dziś zasada niewolnictwa zniknęła, ale zacieśnianie praw obywatelskich na mocy powyższej ustawy zostało.

Zakazane są dalej małżeństwa między osobami, w których żyłach więcej niż jedna ósma krwi murzyńskiej płynie, i ludźmi białymi. W jaki sposób obliczyć ową ósmą krwi, o tem prawo nie mówi, ale jasnem jest, że samowola władz ma tu obszerne pole działania.

A paragraf 1 konstytucyi związkowej opiewa, że nie wolno ograniczać wolności i praw obywateli Stanów Zjednoczonych! Zaiste cudowny paragraf — na papierze! Indyan wymordowano, Murzynów lynchują i gnębią. Kubańczykom wytłumaczono, że ich marzenia o niepodległości to nonsens, Tagalów palą i zarzynają, — no i gwiaździsty sztandar wciąż się jeszcze nazywa sztandarem wolności. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Miesięcznik niemiecki **„Kynast“** zamieścił w ostatnim numerze artykuł, który rzuca bardzo wymowne światło na ukryte zamiary i tajone marzenia hakatystów pruskich. Autor, nieznany zresztą p. Wendland, pisze co następuje:

„Nie wątpię ani chwili, że gdyby rząd zdecydował się na politykę rzeczywiście szkodliwą dla polskości, ludność polska przy namiętnej gwałtowności swego temperamentu, porwałaby się do obrony czynnej. Możnaby namiętności podżegać dopóty, aż ostatecznie mimowoli porwanoby się do głupstwa powstańczego. Skoroby zaś przyszło do walki i rozlewu krwi, to po stronie niemieckiej już nie byłoby wątpliwości, czy zaprowadzić takie ograniczenia swobody polskiej, jakie są potrzebne do ciągłego postępu polityki germanizacyjnej“.

Wobec tego **„Gazeta Polska“** pisze:

„Trzeba ludność polską w Prusach drażnić i przywieść do ostateczności, aby uzyskać pretekst do pozbawienia jej wszystkich praw, i ułatwić zwycięztwo germanizacyi. Co p. Wendland w gadatliwości swojej wypowiada otwarcie, to bracia jego po duchu, czynią już od lat dawna w praktyce. Stwierdzono już od wielu na licznych przykładach, że polityka hakatyzmu jest prowokacyjna. Objawami jej były pomiędzy innemi głośna swego czasu bójka, spowodowana przez komisarza Karnapa w Opalenicy, próba wywołania oporu przeciw władzy na zabawie w Mielżynie itp., pamiętne wszystkie zajścia, które jednak nie doprowadziły hakatystów do upragnionago celu, wywołania rozruchów. Ludność poznańska zbyt jest wyrobiona politycznie, aby posuwać się do gwałtów, i umie zachować spokój nawet w trudnych okolicznościach“.

„Niwa Polska“ ogłasza w liście ze Lwowa następujące uwagi, dotyczące zachwiania kredytu publicznego w Galicyi:

„I tak twierdzą niektórzy, że wszystkie 3 ostatnie samobójstwa: w styczniu posła Jędrzejowicza, w lutym dyrektora Krzyżanowsskiego, w marcu posła Wiktora i obecna ucieczka dr. Krattera pozostają ze sobą w związku, i w związku z niedawnem zachwianiem się Kasy oszczędności i Banku kredytowego. Któż więc zaręczy, że na tej ucieczce zakończy się już ten szereg wstydów i kompromitacyi naszego kraju! Swoją drogą — o ile przyszłość czego innego nie wykryje — zdaje mi się, że związek między samobójstwem Wiktora i ucieczką Krattera z jednej strony, a wspomnianemi instytucyami z drugiej, jest bardzo luźny, chyba ten, że wszędzie przyczyną katastrof była nadzwyczajna chęć raptownego zbogacenia się i pragnienie użycia, ale ten właśnie objaw, że powolna, rozłożona na pokolenia praca zbogacania się spychaną zostaje przez hazard na drugie i dalsze miejsce, ta chęć błyszczenia i dotrzymania kroku w zbytkach, sferom najwyższej arystokracyi i plutokracyi: to najsmutniejsze spostrzeżenie, jakie teraz nad naszem społeczeństwem uczynić można“.

O głodzie w Rosyi niektóre gazety rosyjskie pomieszczają zastraszające wiadomości. **„Ruskija Wiedomosti“** zamieszczają w jednym z ostatnich numerów charakterystyczną korespondencyę lekarza wiejskiego, który objeżdżał wsie, dotknięte klęską głodową:

„Napotykałem rodziny — mówi p. M. — śród których dzieci nie posiadają ani ubrania ani bielizny, lub np. jedną tylko koszulę, tak, że gdy biorą ją do prania to dzieciaki pozostają zupełnie nagie i nagie czekają u pieca, aż koszula wyschnie. Nie brak również i ludzi dorosłych, którzy nie mają co włożyć na siebie, gdyż wszystko posprzedawali, wszystko przejedli. Nie można zapomnieć nigdy takiego widoku, jak np. nawpół nagiej kobiety, piorącej ostatnią koszulę swoją i męża — lub Czeremisa i Rosyanina, którzy pokazywali mi szmaty, zastępujące im bieliznę. Wogóle nieraz widzi się sceny przygnębiające, o których niepodobna zapomnieć. Nędza ludu straszna i potrzebna jest mu ogromna pomoc, zwłaszcza dzieciom i starcom, gdyż wydawane zapomogi starczą zazwyczaj na połowę tego czasu, na jaki są przeznaczone. Gdy więc wydane są na dwa miesiące — to starczą na miesiąc a nieraz na trzy tygodnie ledwie. Zasiłki żywności konieczne są również w miejscowościach dotkniętych epidemią tyfusu dla chorych i rekonwalescentów. Potrzebna jest też bielizna i ubranie choćby tylko już dla najbardziej wynędzniałych wsi jak np. Głuchów, Czarny Zelnik, Kirjanów i inne.

Ze wsi Ust. Sały, w tymże powiecie inny korespondent donosi, że grasuje tam już tyfus brzuszny i febra. Zdarzają się również wypadki zasłabnięcia z powodu braku pożywienia. Wielu dorosłych i dzieci oprócz postrzępionych koszul nie mają żadnego innego ubrania. Do nauczyciela wiejskiego — codzień kilkakrotnie przychodzą włościanie z prośbą o chleb „dla dzieci — my dorośli damy sobie jakoś radę“. „Dwa razy — mówił inny — biłem już dzisiaj dzieci, żeby się nie naprzykrzały, ale mi spokoju nie dają“.

Otrzymawszy ze dwa funty chleba nieszczęśliwi dziękują z dziecinną radością.“

B. M.

NA DOBIE.

Szanowna Redakcyo!

Niedawno temu kilka pism zamieściło depeszę tej treści:

„Paryż. Odźwierna domu, w którym mieszkał Esterhazy, zeznała przed trybunałem kasacyjnym, jakoby Esterhazy powiedział jej wyraźnie, że Dreyfus jest niewinnym i że Esterhazy jest dlatego rozgoryczony na zwolenników Dreyfusa, że jego wybrali na kozła ofiarnego.“

Szelmy są ci Dreyfusiści. Jabym już wolał wybrać tego korespondenta, co takie ciekawe telegramy do nas wysyła, jeżeli nie na kozła ofiarnego, to na barana, cielę lub osła, a ofiarowawszy go, dajmy na to, Esterhazy'emu, uwolniłbym ludzi od czytania bzdurstw o takim szachraju jak Dreyfus, albo jego zwolennicy. A co jeszcze więcej dziwi, że korespondent nie doniósł, co się lokajowi Esterhazy'ego śniło o butach Dreyfusa, to również bardzo ciekawe, boć jeżeli już kpić z czytelników, to dobrze.

Jeżeli już prawdę mam powiedzieć, to niechże kto nie przyzna racyi, że bez takich wiadomości — autentycznych — świat się obejdzie, jak naprzykład:

„Berlin. Mówią tu, że wiadomość o wysokości wydatków w podróży cesarza do Palestyny będzie wkrótce publicznie ogłoszoną“.

„Wiedeń. Krążą tu pogłoski, że Macedończycy widzieli agentów bułgarskich przebranych za kobiety“.

Wszystko to wyczytałem w depeszach. Niebawem chyba i taką wyczytam wiadomość:

„Londyn. W Pekinie podobno minister marynarki tak silnie kichnął, że aż w Bombaju było słychać“.

Czyż już nic ciekawszego na świecie nie było nad to? Czyżby aż takie bzdurstwa drutem telegraficznym trzeba było rozsyłać? Jeżeli panowie korespondenci tylko takie rzeczy umieją nadsyłać depeszami, to niech się zbytnio nie trudzą, a jeżeli nie będzie czem pustej stronnicy zadrukować, lepiej ją czystą pozostawić, to my, czytelnicy, sami sobie w tem miejscu coś zanotujemy, a przynajmniej to, co nas obchodzić może. Przeciętny Paryżanin nie wie nawet, czy istnieje Poznań i w jakim kraju, a pocóż my się mamy tak szczerze interesować tem nawet, co Esterhazy szeptał do ucha swej służącej? *C. F.*

* * *

Łaskawy Panie Redaktorze!

Na tyle rozmaitych pytań czytałam w różnych pismach odpowiedzi, a nie napotkałam nigdzie jeszcze pytania tak ważnego, zwłaszcza dla stanu kupieckiego. Ponieważ „Praca“ tak wiele czyni dla handlu i przemysłu, możeby mogła zamieścić i to pytanie, za którego odpowiedź, niejedna wdowa po kupcu lub urzędniku wdzięczną byłaby niezmiernie. Czem mogłaby żona kupca już za życia jego zająć się w wolnym czasie, aby przygotować się na przypadek śmierci męża, by módz potem na życie zapracować? Wiele matek zostaje z kilkoro dziećmi i nie wie, jak opędzić drogie życie w wielkiem mieście. Żyjąc za życia męża bez kłopotu i nie myśląc o przyszłości — tracą w przypadku śmierci nagłej męża, głowę i nie wiedzą, co począć. Najwięcej rzucają się na krawieczczyznę, bo szyjąc w domu nie potrzebują opuszczać dzieci małych — ale zajęcie to wiem z przekonania mej krewnej, bardzo mało przynosi zysku. Czyby nie warto było się zastanowić nad tem, w jaki sposób łatwiejszy mogłaby wdowa po kupcu, nie mająca żadnych kapitałów, i żona nie spodziewająca się odziedziczyć tyle majątku, aby z procentów żyć mogła — zarabiać na życie, nie rozłączając się z dziećmi? Jest wprawdzie teraz dużo miejsc, o które kobiety się ubiegać mogą, ale matka mająca małe dzieci, zająć takich miejsc nie może, bo dzieci w domu zostawić bez opieki nie zdolna. Czyżby przy tak wielkiej już teraz liczbie abonentów i czytelników „Pracy“ nie zrobił ktoś na takie pytanie propozycyi jakich? Proszę szanownego Pana Redaktora, abyś nad pytaniem i ustawieniem takowego pomyśleć łaskawie zechciał i czy je w łamy „Pracy“ przyjąć można. Wiem, że wiele kobiet znalazło by z różnych odpowiedzi jakąś wskazówkę dla siebie stosowną i wdzięczną byłaby niejedna matka „Pracy“ niezmiernie za poruszenie takiego tematu. Po nagłej śmierci męża trudno zwykle na prędce wymyślić pole zarobku, ale zawsze się przygotować na ten smutny przypadek łatwiej byłoby niejednej kobiecie i czas i grosz łatwo znalazłby się na nabycie wiadomości, które do zawodu odpowiedniego przydać by się mogły. Samotna kobieta łatwiej miejsce znajdzie — ale biedne matki z rozpaczą nie raz patrzą na sieroty głodne i radzić nie umieją... bo się nie nauczyły nic odpowiedniego. Bądź łaskawy Panie Redaktorze tak dobry i zamieść w łamach „Pracy“ przy sposobności pytanie takie — a zjednasz sobie niezawodnie wdzięczność wielu kobiet i coraz więcej czytelników pisma Twego.

Z głębokim szacunkiem

Helena Rose.

Magdeburg, Sternstrasse 8.

Pod kreską.

Największą szczerbą w budżetach mieszkańców miast wielkich jest bezsprzecznie wydatek na mieszkanie. Myśl o komornem osiada zwykle najczarniejszą chmurą na stroskanych czołach pracowników, pragnących zapewnić swym rodzinom kąt cichy i dach nad głową. Troska ta występuje w Poznaniu ostrzej niż gdzieindziej i staje się piołunową przyprawą chleba powszedniego. Nigdzie bowiem drożyzna mieszkań nie narusza tak dalece równowagi skromnych budżetów jak u nas; jak wiadomo, przeciętna norma pozycyi wydatków na mieszkanie nie powinna przenosić $^1/_6$ części rocznego dochodu, tymczasem w Poznaniu obciąża ona $^1/_4$ i $^1/_3$ nawet część budżetu. Zwyczajną np. już jest rzeczą, że człowiek obarczony rodziną, mający rocznego dochodu od 2,000—3500 mk. (a ludzi z takiem uposażeniem, należących zarówno swą pozycyą społeczną jak i wykształceniem do lepszych sfer towarzyskich, jest najwięcej) wydaje na mieszkanie od 500 do 1500 mk. Wydatek to olbrzymi, który w ciągu lat dosięga znacznej bardzo sumy. Obliczmy tylko: w ciągu lat 25 ojciec rodziny, zajmujący cztery pokoje z kuchnią, wyda tyle, — licząc że płaci komornego 900 mk. rocznie — że gdyby pieniądze te składane były w ciągu tego czasu do kasy oszczędności suma urosłaby przeszło do 40,000

Jest to suma już bardzo znaczna, któraby wystarczyć mogła zupełnie na kupno niewielkiego domu, przynoszącego rocznego dochodu około 3000 mk. Wzięliśmy jednak dla przykładu względnie nieźle uposażonego pracownika, zejdźmy przeto niżej i obliczmy, ile płaci przeciętny robotnik fabryczny lub rzemieślnik uboższy. Płaci on za komorne, względnie do wygód mieszkania i do swych dochodów, znacznie drożej. Dziś za suterenę o dwóch izbach, pozbawionych niezbędnego światła słonecznego i przesiąkniętej wilgocią płaci się od 15—20 mk. miesięcznie, czyli od 200—240 mk. rocznie. Tym sposobem robotnik w ciągu lat 25 zapłaci średnio za dach nad głową, z dołączeniem składanych procentów od 7,000—9,000 mk. Jest to już duży majątek dla biednego człowieka, który, opłacając komorne nie przypuszcza nawet, że koszt jego w ciągu lat wielu, to fortuna znaczna.

A teraz rozważmy, do czyich kieszeni wpływają te sumy olbrzymie? Czy do kieszeni obywateli miejskich? Takby się zdawać mogło, w istocie wszakże jest inaczej. Właściciele domów, którzy osiedli w mieście na stałe, unieruchomiwszy swój kapitał w kamienicy, otrzymują niewielki stosunkowo procent od swego majątku — waha się on między 6 a 8% i rzadko dochodzi wyższej normy. Zarabiają znacznie już więcej przedsiębiorcy budowlani i handlarze domów, wyłącznie prawie żydzi, którzy na giełdzie budowlanej robią milionowe majątki przez uprawianie lichwy, zarówno w wyzysku robotnika, jak i przyszłych nabywców, wybudowanych przez nich kamienic.

Tym sposobem można bez żadnej przesady orzec, że obdzieranie żywcem ze skóry ludzi pracy i przyczynianiem się do ich ekonomicznej ruiny zajmują się wszelkiego rodzaju aferzyści i lichwiarze budowlani, co zresztą niejednokrotnie już było wskazane i stwierdzone.

A więc zło istnieje, zło, będące przyczyną nieustannej biedy ludzi pracujących, którzy owocami swej pracy wypełniają olbrzymie kieszenie i ogniotrwałe kasy pasożytów ekonomicznych.

Czyż nie ma na to żadnej rady, czyż ukrócenie tego stale uprawianego wyzysku nie leży w naszej mocy, czy wreszcie w braku instytucyi autonomicznych których zadaniem jest troska o podniesienie dobrobytu ogólnego, nie powinni nad tem zastanowić się nasi kapitaliści i instytucye finansowe, których działalność jak dotąd nie wykracza po za sferę giełdziarskich operacyi i dyskonta weksli wtedy, gdy tyle interesów korzystniejszych dla kraju i społeczeństwa leży odłogiem? — Lecz przejdźmy do innego tematu.

Bieżący miesiąc jest miesiącem sprawozdań z działalności rozmaitych instytucyi publicznych. Z prawdziwą radością

bierzemy zawsze do ręki te sprawozdania, w których napozór cyfry przemawiają do nas wymownie, mówiąc o krzewiącej się wśród nas samopomocy i dążności do wyzwolenia się z dotychczasowej zależności ekonomicznej zarówno od Niemców jak i od naszych przyjaciół żydów. Wprawdzie nie wszystkie sprawozdania rozmaitych naszych stowarzyszeń, kas, spółek z towarzystw wzajemnego kredytu wykazują działalność taką, jakiej pragnęłoby się spodziewać, to wszakże zbiorowa ich działalność daje już bardzo poważne rezultaty, twierdzące, że nie tylko żyjemy, lecz i dojrzewamy społecznie. *Omikron.*

TEATR.

Dzwon Zatopiony, — Gerharda Hauptmanna.
Tamten — Maskoffa.

Rzadko który tydzień zaznaczył się w kronice teatru poznańskiego takiem artystycznem powodzeniem, jak tydzień ubiegły.

Na benefis sympatycznej artystki teatru naszego, panny Suliny, która zasługuje na sympatyę choćby dla tego, że z właściwą młodym siłom odwagą podejmuje się najtrudniejszych zadań i pracy nie szczędzi, dyrekcya teatru dała „*Dzwon zatopiony*“ Gerharda Hauptmanna.

Przyznam się otwarcie, że na przedstawienie „Dzwonu zatopionego“ szedłem z pewną obawą. Miałem pewne wątpliwości, czy siły naszej sceny wystarczą, aby z przedstawienia tak trudnej sztuki pomimo największych usiłowań wywiązać się poprawnie, i czy mimowolny jaki dyssonans nie zakłóci i nie zatrze czaru poezyi z dzieła, którego najpiękniejszą ozdobą jest właśnie ten jakiś nieuchwytny i delikatny koloryt poezyi, a tak znikomy jak pyłek barwiący skrzydło motyle.

Obawy były płonne. Pan dyrektor Ryger, rzec można, dał więcej, niż ktokolwiek miał prawo żądać i spodziewać się — bo dał artystyczną ucztę, w której artyści brali udział z widocznym zapałem i przejęciem się sztuką. Tak trudne zadanie umacnia i potęguje nieraz siły ludzkie — i w tym razie spotęgowało je do wyżyn prawdziwie artystycznych.

Nie wiem i nie mam żadnych danych do osądzenia, o ile publiczność poznańska umiała rozkoszować się artystycznemi wrażeniami w „Dzwonie zatopionym“. Były miejsca, w których śmiech pośród publiczności dowodził niezrozumienia intencyi autora i byli krytycy, którzy powoływali się na zdanie zmarłego od lat kilkudziesięciu Wojciecha Bogusławskiego, aby uprzystępnić publiczności tej zrozumienie sztuki, napisanej przed paru laty — ale tego rodzaju wypadki w Poznaniu uchodzą za coś bardzo naturalnego. Ale też właśnie dla tego podnieść trzeba zasługę Dyrekcyi, która takiego ducha potrafiła natchnąć w artystów, iż czuć w ich grze było chwilami, że grają dla siebie, nie dla publiczności.

Benefisantka, p. Sulima, wywiązała się z roli Rusałki zupełnie poprawnie. Zarzucić jej można jedynie i to we wszystkich rolach pewien chłód i jakąś sztywność, która wygląda na brak temperamentu i sprawia wrażenie, że artystka nigdy nie zapomina o tem, że gra; życzymy jej nieco więcej uniesienia, ognia, przejęcia się sobą, a nie wątpimy, że i dalsze jej występy będą oznaczały raźny postęp w jej karjerze artystycznej, jak oznacza dla niej rola Rusałki w Dzwonie zatopionym. Niepodobna mi tu pominąć p. Swięckiej. Artystka to tak uzdolniona, że z każdej choćby drobnej roli potrafi skrzesać iskrę tragiczności. W krótkiej roii żony odlewacza dzwonów, mistrza Henryka, p. Święcka potrafiła przyciągnąć i trzymać w naprężeniu uwagę całego teatru. To samo można powiedzieć o roli jej w sztuce „Tamten.“

„Tamten“ należy do sztuk, które pociągają i porywają widza kolorytem, tłem współczesnem a tragicznem, i typami znienawidzonemi, a jednak, niestety, tak znanemi. Dlatego też sztukę tę trzeba widzieć. Kto jej nie zobaczył, temu przebieg akcyi żadnej informacyi dać o sztuce nie może — bo istotę sztuki stanowi nietyle akcya sama, ile tło jej, ile postacie żandarmów rosyjskich, studentów, ruchu tłumionego represaliami politycznemi. Artyści nasi grali wybornie. Jedynie obsada małej zresztą roli pułkownika artyleryi nie była bez zarzutu. Teatr był wykupiony — tak, iż nawet zwykle zarezerwowane miejsca były rozprzedane; gdyby w samą porę nie była interweniowała opiekuńcza dłoń dyrekcyi, piszący te słowa byłby zmuszony śledzić przedstawienie chyba z galeryi, bo krzesła co do jednego były rozkupione. Niechajże zawsze takie powodzenie wieńczy usiłowania naszej dzielnej drużyny artystycznej!

K. R.

POLITYKIER.

Powieść

z życia Polaków w Ameryce

odznaczona pierwszą nagrodą i złotym medalem
na konkursie literackim im. M. Kopernika.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIV.

Piorun.

Dziedzic dobry człek. Tak się za Frankiem ujma, jakby za rodzonym. Ale na co się to zdało, kiedy landrat jakiś zawzięty. Dziedzic swoje a on swoje: ja, ja..., gut, gut. — I tyle.

Dziedzic mówi:

— Ten człowiek przecie już się tu osiedlił, już zagospodarował, z ludźmi żył i pokumał... Jakże takiego ruszać. Zresztą on nawet z tutejszą ożeniony.

— Z Kasią Wylazianką — dorzuca Franek, i wyprostowawszy dwa palce, a raczej półtora tylko, do skroni przykłada.

A landrat wciąż ja, ja.

— Ma już kilkoro dzieci — mówi dalej dziedzic — służył w wojsku, ranny, dostał krzyż nawet...

— Biłem za dwóch — wtrąca Franek, znów po żołniersku salutując.

Uczciwy, pracowity, spokojny, nikomu wody nie zamąci...

Pięknie dziedzic gada, ani słowa, ale cóż z jego gadania, kiedy to jak groch na ścianę. Pan landrat niby wszystkiego słucha, ale kto tam będzie mądry z jego ja, ja... Niesposób wymiarkować co myśli.

— Ja. ja — mówi — to wszystko dobrze, ale ty nie tutejszy. Rząd bardzo mądrze i sprawiedliwie robi, bo ziemia niemiecka powinna być dla Niemców, a nie dla obcych, którzy tu przychodzą, żeby robić intrygę polską. Na to nie można pozwolić. Na niemieckiej ziemi powinni być wszyscy Niemcy, a komu się nie podoba niemiecki kultur, niech sobie stąd idzie precz, do dzikiej Azyi. Ja, ja, niech idzie, niech nie zjada chleba Niemcom. A po co tobie niemiecki chleb. Taki człowiek jak ty wszędzie może zapracować, nietylko między Niemcami. Zresztą ja nic ci nie mogę poradzić. Taka wola rządu, trzeba słuchać. Dam ci jeszcze trzy miesiące czasu na sprzedanie gospodarstwa. To dosyć. Przecież sprzedać nietrudno. Jest tu nawet jeden dobry Niemiec, któryby ci drogo zapłacił.

— Pójdź, mój Olachowski — rzecze dziedzic, któremu już widać zadużo było tego gadania. — Nie mamy tu co robić, chociaż i pana landrata nazwisko bodaj że kończy się na ski.

Ale Franek jakby do ziemi przyrósł, jeszcze z ręką u czoła stoi w miejscu, ani się ruszy. A wargi mu drżą, po twarzy mu łza spływa. W oczach mu się wszystko kręci z nim razem; w uszach mu tylko jak burza szumią bezustanku te straszne słowa: „trzy miesiące“!

Kiedy się Franek z zadumy ocknął, dziedzica już nie było. Znalazł go dopiero na ulicy.

— Czekaj — mówi, trzęsąc się z oburzenia — napiszemy jeszcze do regencyi, a choćby nawet do samego ministra, albo nawet do króla. W najgorszym razie ja sam od ciebie gospodarstwo kupię. Ale niepodobna przecie, aby już nigdzie sprawiedliwości nie było.

Niestety, Franek jej nie znalazł. Zewsząd odmowna nadeszła odpowiedź.

Tak więc ten straszny piorun, co aż 30,000 spokojnych gniazd polskich zburzył i po świecie szczątki ich rozproszył — teraz już nieodwołalnie i niezadługo także ma ugodzić i zgnieść dach nad głową bohatera z pod Gravelotu.

Dopóki Franek łudził się jeszcze nadzieją, gryzł go niepokój i obawa. Drżał na samą myśl, że wkrótce przyjdzie mu opuścić te progi... Teraz jednak, skoro już ostatnia iskierka nadziei znikła, jakoś się pogodził z losem. Żal wprawdzie serce gniecie, smutno mu, ale już spokojniejszy, stara się o nabywcę. Kupców nie brak, ale jedni dają mało, innych znów albo Kasia, albo on nie chce.

Kasia mówi, że niech to wszystko zmarnieje, a żadnemu Niemcowi nie sprzeda, bo by spokoju w grobie nie miała. Franek znów nie ma wielkiej ochoty dziedzicowi sprzedać.

Nieraz już bowiem tak sobie myśli, czy czasem dziedzic z umysłu prośby źle nie ułożył, żeby potem jego ziemię zagarnąć. Bo któż to na ziemię nie łakomy.

Kasia wprawdzie broni dziedzica, że on by tego nie uczynił, ale co się tam

baba zna na polityce. Niech garnków i dzieciaków pilnuje.

I tak nieraz się ze sobą przekomarzają, jak to zwykle w nieszczęściu bywa. Często bieda z najlepszego stadła zgodę wypłoszy i piekło zrobi.

Nieraz kiedy się posprzecza, to zabierze skrzypki i gdzie w polu pod drzewem, albo pod krzyżem siądzie, ale już nie gra, jeno głowę sobie łamie: gdzie wędrować? dokąd? w którą się stronę obrócić?

Czy do Galicyi wracać? Lecz po co tam? Matula już zmarła, tyle lat minęło, ludzie obcy i on dla nich obcy... A przytem słychać, że Austryak jeszcze teraz bardziej lud podatkami morduje. Już niejeden flisak o tem gadał. Czasem to podobno i ostatnią krowinę i poduszkę z pod głowy za podatek sprzedają. To też tam bieda okrutna aż piszczy.

Ale mimo to wszystko coś go tam jakoś do tej Galicyi ciągnie. Nieraz, kiedy leżąc pod krzyżem, na Wisłę się zapatrzy, jakby tam widział Tatry a na ich tle kościołek drewniany z drewnianą dzwonnicą i tuż za wsią cmentarz z mogiłami ojca, matuli... A dalej żywo mu przed oczami staje owa olszynka nad brzegiem, gdzie się po gniazdka na drzewa skrabał, czasem aż na czubek...

Oj, szczęśliwe były to lata, bez troski w rodzinnej wiosce spędzone. Jak sobie teraz to wszystko przypomni, to aż się uśmiecha i o całej biedzie zapomina.

Dziwna rzecz, że dotychczas o tem nie myślał. — Może dla tego, iż mu dni w spokoju i szczęściu płynęły, po cóż więc myśleć o Galicyi. Zresztą i tu ta sama woda szumi, która mogiłkę matuli obmywa... I tu tak samo się snują, tak samo jak węże wiją tratwy z flisakami i co dzień tak samo słyszy: „A colem do lądu! coleeeem!.. Szrykunuj!..“ Jakby tam w olszynie albo na cmentarzu był i słuchał i patrzał na to wszystko...

Teraz kiedy sobie pomyśli, że go ztąd wypędzają, to aż skóra na nim drży, bo czy on potrafi gdzieindziej bez tego żyć... I radby do Galicyi choć na biedę wrócić... Ale jakże tam wróci?.. A nuż do „becyrku“ zawołają i tłumaczyć każą: dlaczego wojował i Prusakowi a nie swojemu cesarzowi służył? Gotowiby go za to jeszcze do kryminału wsadzić, a co by wtedy sieroty bez niego poczęły? jakąby sobie radę same wśród obcych dały?

Nie; do Galicyi nie opłata wracać.

Ale gdzie się podzieje?
Ludzie namawiają do Ameryki. Ale jakże tam z tylu dzieciakami jechać? Możeby nawet pieniędzy nie starczyło... I co tam robić? A jednak pewno na to przyjdzie. Bo gdzież się teraz obróci?

Zresztą wciąż przecie ztamtąd piszą a piszą, że nie ma kraju nad Amerykę. Kto tylko pojechał, to odchwalić się nie może.

Tu ni ztąd ni z owąd, przyszedł mu na myśl ów uratowany żydek Feingold i jego wróżba.

Franek uśmiechnął się.

— Gdzie też on teraz? — myśli sobie — A może się sprawdzą jego słowa. Kto to wie. W Ameryce różnie bywa.

Taki Wojtek, chłopczyna to ni z pierza ni z mięsa, ledwo trochę na książce potrafi, a już go tam podobno jakimś urzędnikiem zrobili i płacą mu aż po 3 marki na dzień. A tu u nas kto zarobi 3 marki? Chyba sam pan landrat. Jeżeli taki Wojtek, co nawet porządnie zorać nie potrafił, tyle tam zarabia, to mnie już chyba ze 4 marki dadzą. Najmniej. A musi to nie żadne łgarstwo, bo skądżeby głupi chłopak zaraz w pierwszym roku mógł przysłać matuli na spódnik a staremu Dziobkowi też podobno trochę grosza. Ale to jeszcze nie wszystko. Ludzie cuda po całej wsi rozpowiadają o tem, co ten chłopak pisze. Aż trudno dać temu wiarę. Może też nie pisał, tylko tak gadają... Trzeba zapytać samego Dziobka na przekonanie.

I nie czekając, zaraz do Dziobka idzie.

— Powiedzcież mi — pyta — czy też to może być prawda co ludzie bają, że ten wasz Wojtek podobno takie różne dziwy o Ameryce powypisywał?

— A toć prawda — potwierdza Dziobek z pewną dumą. — Co nie ma być prawda.

— Więc i to prawda, że aż 3 marki na dzień mu płacą?

— Toć płacą. Ale co tam płacą, płacą... Mało tego że płacą. Jak Wojtek pisze, to on widać jest tam sobie całą gębą pan. Nawet czapkę ma na łbie, fajkę w zębach, pod bok się ujmie i jakimś tam basem gada. A nijak mu nie powie: ani wielmożny, ani nawet panie, jeno „halo Dzian“. To niby po amerykańsku ma znaczyć tyle co „jak się macie kamrat“.

Wojtek pisze, że teraz nawet i zegarek ma i to jeszcze pozłacany, a taki duży, że mógłby nim i cielaka zabić. Tylko palcem naciśnie, to pokrywa sama odskoczy i wtedy bez patrzenia na słońce można tam zobaczyć, która godzina, nawet w nocy.

— Ho, ho, są tam jeszcze dziwniejsze dziwy, zapewnia Dziobek zadowolony. — Oni tam nawet podobno wcale nikogo do wojska nie biorą.

— E, już tylko tego mi nie gadajcie przerywa Franek — bo co to, to już chyba nie prawda.

— Ha, wierzcie, nie wierzcie, wolnemu wola, ale ja wam powiadam, że w tej cudacznej Ameryce wszystko widać inaczej niż u nas. Wojtek by nie łgał, bo co by miał w tem. Jeszcze kogo jak kogo, ale rodzonego ojca miałby tumanić? Zresztą czy to nie pamiętacie, że i Józef to samo pisał.

— Toć bodaj pisał . . . Ale jednak mi się to jakoś nie widzi.

— Jeno nie gniewajcie się, Dziobku, bo to takie jakieś dziwaczne, że trudno dać temu wiarę.

— Co trudno to trudno, mówi Dziobek. — Ja też się na was nie gniewam. Ale macie, teraz się możecie przekonać czyja prawda, dodał kładąc list Frankowi przed oczy.

Franek na wszystkie strony list w ręku obraca, pieczęciom się przygląda, ale trochę pokraśniał i jakoś nie zaczyna czytać. Wreszcie rozwija, a tam w środku fotografia.

— Co to takiego? pyta. — Czy to jaki święty?

— Ale, święty, oburza się Dziobek. — Czyż nie widzicie? A toć to niby ma być Wojtek, nie żaden święty. Daleko mu do świętego.

— To Wojtek? E, nie gadajcie.

— Przecie że on. A o, patrzcie jaki ma pierścień. A jaki mu łańcuch od zegarka wisi.

— Ktoby go był poznał. A toć on ta wypatruje jak sam dziedzic.

— Więc widzicie, że prawda. To też pewno i wszystko insze prawda.

Franek list wciąż w drżących rękach obraca, a choć nań patrzy, żadnego pisania tam nie widzi, bo każda litera przemienia mu się w pierścienie, zegarki i pieniądze.

— Mówcie no Dziobku, co on tam jeszcze więcej pisze? A nie pisze on czasem, że i ztamtąd Bismark wygania Polaków?

— O tem nic tu nie stoi. Pisze tylko, że już tam sobie nawet i własny kościół pobudowali murowany, piękny, wielki, większy niż dworska stodoła. A wszystko w nim podobno aż kapie od złota. Są tam także takie jakieś sosajty czy coś, że choćby też człowiek czasem nawet i zachorował, to też nie wielka krzywda, bo mu płacą tak jakby do roboty chodził.

— Widzicie, w Ameryce to nietylko z chorobą ale ze wszystkiem, nawet ze śmiercią jest całkiem inaczej. Tam choć prosty robotnik umrze, to go też do paradnej trumny włożą a nie wiozą tak jak u nas, w deskach od gnoju, ale mają na to jakąś czarną karetę ze szkłem z 4 ogonami na wierzchu. I tak człowiek sobie na cmentarz paraduje jakby jaki książe a ludzie za nim jadą w jakichś kieryczach. Toć to nawet i umrzeć w takim kraju nie żal, zwłaszcza że wdowie i dzieciakom pieniędzy dają. Wojtek pisze, że jakbym chciał, to mam tylko napisać a on mi zaraz taką jakąś szyfskartę*) przyśle i też mógłbym tam do tej Ameryki jechać.

— No i cóż? pojedziecie? pyta Franek rozogniony.

— Pewno, że i pojadę.

— To jedźcie razem. Będzie nam raźniej.

— Alboż i wy tam jedziecie?

— A gdzież mam jechać? Przecie wypędzają. Muszę.

— E, z tem waszem wypędzaniem, to jakoś mi się dziwno widzi. Przecie oni już chyba zapomnieli, żeście nie tutejszy. Musiał im pewnie ktoś przypomnieć.

Franek spojrzał nań zdziwiony.

— Co wy mówicie a któżby taki?

— Ja tam przecie dokumentnie tego nie wiem i przysiądzbym nie przysiągł a nie chcę też na nikogo podszczuwać, ale tak mi się coś widzi, że to bodaj ktoś z Okoniów.

Franek zdumiał.

— A może i prawdę mówi. — Ale cóżby oni w tem mieli?

— Jać tam nie wiem co. Możeby radzi waszą gospodarkę kupić, a może inna jaka przyczyna. Słyszałem jednak, że podobno Bartek z matką we dwoje po coś do landrata chodzili.

— A to niech sobie chodzili. Co mi tam za krzywda. Pojadę sobie do Ameryki, będę panem i już. Myślą może, że mi źle zrobili.

Ale źle — żyd mi wróżył i pan landrat też to samo gada, to czemu nie mam

*) Karta okrętowa (z niemieckiego).

być panem, kiedy taki wasz Wojtek a przy zegarku i w pierścieniach paraduje. O jej, niech tylko dobrze zapłacą, to nawet i Okoniom gotówem sprzedać, a tam sobie jeszcze większą gospodarkę kupię. — Dziobku jedźcie i wy z nami.

— Juści chyba pojechać pojadę, ale jeszcze nie tak zaraz. Trzeba przecie i swoją chudobę posprzedawać.

— A no to duchem sprzedawajcie i pojedziemy razem.

I Franek już z dobrą miną do domu wraca. A ledwo wszedł do izby zaraz od progu woła:

— Kasia?

— A co?

— Pojedziema do Ameryki.

— Pojedziema — jak echo przywtarza Kasia, już na wszystko gotowa.

— Na, masz, czytaj.

— E, co mi tam . . .

— Nie chcesz?

Co nie mam chcieć . . . Pojadę . . . wszędzie za tobą pojadę . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻONA DOKTORA.

Powieść amerykańska.

(Ciąg dalszy.)

— Jeżeli pani czytałaś w gazetach przebieg tego procesu, to musisz wiedzieć, że Molwort twierdził, że znalazł Helenę Farle na schodach jakiegoś domu na ulicy B. — rzekł Gryce.

— Wiem. Umówiliśmy się, że on tak tę rzecz przedstawi, zdawało nam się to najlepszym środkiem uniknienia wszelkiego podejrzenia. Zmarłej nic to zaszkodzić nie mogło, mnie zaś oszczędzało wiele nieprzyjemności, jeżeli policya byłaby uwierzyła, że ona rzeczywiście na ulicy umarła. Tak przynajmniej myśleliśmy wówczas — jaką popełniliśmy omyłkę, tego dowodzi chwila obecna.

Gryce spojrzał na nią; widocznie chciał coś powiedzieć, ale wahał się, w końcu jednak odetchnął i rzekł stanowczo:

— Musisz pani znać bardzo dokładnie doktora Molworta!

Kameron zadrżał i zbladł, Ewa zaś pozostała zupełnie spokojną.

— Słyszałam wiele o nim od jego narzeczonej i widziałam go kilka razy u pani Olne, a położenie, w jakiem znajdowaliśmy się oboje, zbliżyło nas do siebie.

— Naturalnie — odparł Gryce — pojmuję też zupełnie postępowanie pani. Kobieta działa zawsze pod wpływem chwilowego wrażenia i nie myśli o następstwach, jakie z tego wyniknąć mogą. Ale mężczyzna rozważa zwykle dokładnie, zanim zgodzi się na wykonanie jakiegoś planu, który go doprowadza do krzywoprzysięztwa!

Młoda kobieta cofnęła się przestraszona.

— Doktor Molwort — mówił Gryce dalej — wziął nadto na siebie straszną odpowiedzialność, gdy przyrzekł, że wyniesie sam ciało zmarłej z domu państwa. Aby wykonać coś podobnego, trzeba posiadać wiele odwagi i poświęcenia się. Bo nie każdy zdobyłby się na czyn tak niebezpieczny i okropny, to też nie mogę uwierzyć, aby Molwort zrobił to przez wzgląd na kobietę, którą znał bardzo tylko powierzchownie. Mnie się zdaje — dodał znacząco — że on sam miał powody zachowania całej tej sprawy w tajemnicy!

— Być może — odrzekła Ewa spokojnie. — Co się działo w jego sercu, tego nie wiem — mogę panu powiedzieć tylko o tem, co uczyniliśmy w trwodze i przerażeniu!

— Więc pani twierdzisz, że Molwort wyniósł zmarłą z pani pokoju i z domu bez niczyjej pomocy?

— Tak!

— I kiedy się to działo?

— Nie wiem, bo odjechałam!

— Ach, więc pani odjechałaś, podczas kiedy trup jeszcze się znajdował w domu?

— Tak! Powierzyłam całą rzecz doktorowi i myślałam jedynie o mojem ocaleniu. Postarałam się o to, że schody od podwórza były wolne — kazałam tędy znieść moje kufry i tej drogi miał on także użyć!

— Uczynił to?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Wiem tylko tyle, że wykonał zamiar — ale jak i pod jakiemi warunkami, o to musisz pan go już zapytać. Ja nie miałam dotąd sposobności rozmawiania z nim.

— Myślisz pani, że on mi wszystko powie?

— Nie! — odrzekła śmiało. — Dopóki sądzi, że ja zachowałam tajemnicę, dopóty on milczeć będzie.

— Chociażby życiu jego groziło niebezpieczeństwo?

— Jego życiu?

— Tak! Uwięziono by go jako podejrzanego o morderstwo! Ale na szczęście zeznanie Cecylii zniszczyło wszelkie podejrzenia. Pani zaś wiedziałaś, że jest uwięzionym, że jest niewinnym i nie starałaś się uwolnić go?

— Byłam od dwóch tygodni po ślubie, panie Gryce! Mój mąż nienawidzi kłamstwa, a ja nie miałam odwagi wyznania mu, jak byłam w tę sprawę zawikłaną. Przypuszczałam, że Molwort znajdzie napewno jakiś sposób wyjścia i nie myślałam ani na chwilę, aby mu niebezpieczeństwo miało grozić. Gdyby jednak miało tak być istotnie, wówczas byłabym wyznała wszystko, nie szczędząc się wcale. Ale dopóki nie potrzebowałam mówić — milczałam!

Ewa broniła się dobrze, drżące jednak jej usta i bladość twarzy dowodziły, że uważa sprawę swoją za przegraną. Nikt nie może ujść swemu przeznaczeniu.

— Wyjaśnienia pani wystarczają mi — odrzekł Gryce. — Chciałbym tylko jeszcze wiedzieć, skąd panna Farle miała truciznę, którą odebrała sobie życie?

— Tego — nie mogę powiedzieć — szepnęła Ewa ledwie dosłyszalnie.

— Czy wydobyła buteleczkę z kieszeni, czy z torebki?

Ewa poruszyła bezradnie głową.

Gryce zaczął się niepokoić, ale pomimo to pozostał jak zawsze uprzejmym i łagodnym.

— Widziałaś pani, że zmarła przyłożyła buteleczkę do ust? — zapytał.

— Tak!

— Ale nie wiesz, zkąd ją wydobyła?

— Na to nie mogę panu odpowiedzieć!

Kameron zbliżył się do żony.

— Czemu nie? — szepnął.

— Bo... bo... — jękła, chwytając obiema rękami krzesło, aby nie upaść — bo nie uwierzysz mi!

— Ja... miałbym nie wierzyć tobie?

Ewa spojrzała na męża, a oczy jej wyrażały miłość i rozpacz bezmierną.

— Może — rzekła — ale to brzmi tak nieprawdopodobnie...

— To nic nie szkodzi!

Lekki, beznadziejny uśmiech przesunął się po jej ustach.

— Buteleczkę wyjęła z pudełka! — zawołała z ostatnim wysiłkiem.

— Które miała przy sobie?

— Nie, które znajdowało się w moim pokoju!

Kameron i Gryce patrzeli na nią w najwyższem zdumieniu. Ewa drżała jak we febrze.

— Więc flaszeczkę wyjęła panna Farle z pudełka, które znajdowało się w pani pokoju? — powtórzył Gryce.

— Tak!

— Ale zkąd się ta trucizna wzięła tam?

Ewa nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Poruszała ustami, nie mogąc mówić, i stała jak posąg, nieruchoma.

Kameron chciał właśnie coś powiedzieć, ale Gryce uprzedził go.

— Jesteś pani tego zdania, że nie mam prawa pytania o to, cofam więc moje słowa i proszę, powiedz mi pani, jak wyglądało owe pudełko, z którego panna Farle wzięła truciznę i gdzie ono stało?

— Była to kasetka do klejnotów i stała w górnej szufladzie gotowalni!

Gryce nie był wcale tą odpowiedzią zdziwiony.

— Tak? No, ponieważ w kasetce tej znajdowały się kosztowności, przeto była ona pewnie zamkniętą, i szuflada także!

— Szuflada była otwartą — ale pudełko nie — widziałam, jak obróciła kluczyk w zamku...

Było to okropne wyznanie, którego wiarogodności nikt uznać nie mógł. Ewa poznała to sama, ale teraz było już zapóźno... Śmiertelna bladość pokryła jej twarz, a postać jej zachwiała się tak, że gdyby mąż przestraszony nie podtrzymał jej, byłaby upadła na ziemię.

— Wybacz pani — mówił nielitościwy Gryce dalej — zkąd biedna krawczka miała tyle śmiałości, aby otworzyć kasetkę, należącą do pani, i brać z niej to, co nie było jej własnością? Pod jakim pozorem pozwalała sobie na taką niezwykłą poufałość?

Ewa raz jeszcze zebrała całą siłę woli.

— Wszystko to — rzekła — stało się tak prędko, że nie zostawało ani jednej chwili na wyjaśnienie...

— Ale zkąd ona wogóle o tej truciznie wiedziała...

Doktor, widząc że żona jego zaczyna tracić przytomność, przerwał mu szybko.

— Ewo, powiedz mi to jedno jeszcze, czy to była owa flaszeczka z trucizną, którą ci dałem wówczas, gdy...

Pytanie jego zostało jednak bez odpowiedzi. Na twarzy Ewy wystąpiły dwie czerwone plamy i widocznem było, że teraz nic już nie słyszy.

— Jestem chorą, Walterze, jestem chorą — jękła i po chwili leżała zemdlona w objęciach męża.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości.

Zebranie Towarzystwa Organistów pod opieką św. Wojciecha na Poznań i okolicę odbędzie się w czwartek dnia 27 b. m. o godz. 11 przep poł. na sali podominikańskiej z następującym porządkiem obrad: 1. Zagajenie. 2. Przeczytanie protokółu z przeszłego zebrania. 3. Wykład teoryi. 4. Deklamacya. 5. Śpiew z kancyonału: Nieszpory żałobne i responsorya z „Officium Defunctorum 6. Sprawy bieżące i wnioski. 7. Przyjęcie nowych członków i składki. 8. Zakończenie śpiewem: „Bogarodzica“.

Przewielebne Duchowieństwo prosimy usilnie o łaskawe poparcie w naszej pracy, której celem wydoskonalenie organistów i przyczynienie się przez to do podniesienia nabożeństwa. Najskuteczniej nas poprze, gdy w zebraniach łaskawie uczestniczyć raczy, na członka honorowego naszego Towarzystwa się zapisze, oraz gdy organistów do zapisania się na członków, regularnego uczęszczania na zebrania i gorliwej na nich pracy zachęcać będzie.

Kolegów zaś wszystkich ponownie do większej gorliwości wzywamy. Koledzy całego Księztwa oglądają się na przykład Poznania, a tu ten przykład bardzo lichy, bo liczba członków przybyłych na zebranie mała, uwaga licha, a większa część wybiera się, choć wyznaczono: „Śpiew z kancyonału“, bez takowego i zebranie trwa im za długo. Zawsze też trafiają się tacy z Poznania i najbliższej jego okolicy, którzy bez uniewinienia nie przybywają, bo niby o zebraniu nic nie wiedzieli, choć w pismach publicznych było ogłoszone. Największym wstydem dla organisty powinno być nie należeć do Towarzystwa i nie uczęszczać na zebrania. Gdy sam tego nie czuje, społeczeństwo mu to dać uczuć powinno. Narzekamy, że rząd stawia pracy w Towarzystwach zapory, a nie garniemy się do tych, które jako Towarzystwa fachowe przeszkód żadnych nie doznawają. Narzekamy na braki w zawodzie naszym, a nie pracujemy nad ich usuwaniem. Narzekamy na liche wykształcenie organistów, a nie popieramy Towarzystw, które nad udoskonaleniem ich pracują. Czas więc wielki poprawić się i spełniać obowiązki nasze względem siebie, względem stanu swojego i całego społeczeństwa. Dla tego Koledzy z okolicy Poznania i wszyscy nam przychylni spieszcie hurmem do Poznania na dzień 27 b. m. O to usilnie prosi ZARZĄD.

Otrzymaliśmy roczne sprawozdanie Banku włościańskiego, oraz komunikat Zarządu Związku Towarzystw przemysłowych. Z powodu braku miejsca do kwestyi tych powrócimy w następnym numerze.

Zwracamy uwagę Czytelników naszych na anons p. *Nowackiego* w Poznaniu, dawniej we Wrześni zamieszkałego, znanego od szeregu lat jako uzdolnionego weterynarza, posiadającego gruntowną znajomość zawodową.

Niniejszem zwracamy uwagę na anons dr. J. Stasińskiego, który po kilkoletnich studyach okulistycznych, względnie asystenturze w klinikach: prof. Pogenstechesa w Wiesbadenie, uniwersyteckiej w Hradcu i innych zagranicznych, jak w Paryżu, osiedlił się w Poznaniu jako lekarz okulista.

Biuro wskazywania pracy Towarzystwa „Schronienie“ dla nauczycielek przyjęła łaskawie p. Przybyłowska, egzaminowana nauczycielka, Wodna ul. 15, II p. — Kto zamierza przystąpić do Tow. „Schronienie“, winien przesłać składkę na ręce kasyerki Tow., p. Zofii Starkowej, Wilhelmowska ul. 21. Roczna składka wynosi mk. 6. Osoby, przesyłające jakiebądź kwoty, upraszamy o dodanie łaskawie, czy kwotę przesłaną uważać się ma za składkę jednorazową, czy też jako ratę składki stałej (ćwierćroczną, półroczną).

U komisarza gołanieckiego pana T. — przesiedlonego na inną posadę — pracował przez *lat 9* sekretarz Polak p. S. Pan komisarz bardzo był zadowolony z swego sekretarza, który też najzupełniej zasługiwał na to zaufanie, gdyż odznaczał się prawością charakteru, pracowitością i sumiennością — a więc przymiotami jak najlepszemi. Że pan S. spełniał dobrze swe obowiązki, o tem świadczy już chociażby tylko ten szczegół, iż w ciągu życia swego miał tylko dwie posady takie: Na jednej przebywał lat 6, na drugiej 9! Tymczasem w roku ubiegłym oświadcza mu pan komisarz z wielkim żalem, że od 1 października r. 1898 musi mu wypowiedzieć stanowisko — i to jedynie z wyższego nakazu. Pan S., dbały o swój honor, a zaniepokojony tem wypowiedzeniem bez powodu, zwraca się do rejencyi bydgoskiej z zapytaniem, jakiej to dopuścił się winy, że mu posadę wypowiedziano i pozbawiono go chleba. Na to otrzymał odpowiedź wymijającą. Pan S. poszukuje za pośrednictwem „Pracy“ w ogłoszeniach miejsca, na co zwracamy uwagę baczną Szanownej Publiczności.

Śmierć weterana. W Londonderry zmarł ś. p. Jerzy Ręczyński, kapitan 4-go pułku piechoty w 1831 roku (bodaj czy nie ostatni oficer tego słynnego pułku). Urodził się w 1803 r. w województwie augustowskiem. Wstąpił do armii polskiej w 1825 roku, po wybuchu powstania listopadowego odbył kampanią, biorąc udział we wszystkich bitwach i potyczkach w 4 pułku liniowym. Dosłużył się stopnia kapitana, ozdobiony był krzyżem „virtuti militari“, najprzód srebrnym a później złotym. Po upadku powstania wyszedł na emigracyą, zaraz w pierwszych latach udał się do Anglii i tam spędził sześćdziesiąt kilka lat życia. Zamieszkiwał od lat wielu w północnej Irlandyi w Londonderry, gdzie też dokonał żywota dnia 24 lutego. Oddawał się pracom naukowym w dziedzinie lingwistyki i archeologii, tudzież fortyfikacyi, której dawał lekcye w zakładach publicznych. Ogłosił wiele dzieł w języku angielskim. W ciągu swego pobytu w Irlandyi oddawał się zawodowi nauczycielskiemu i używał pewnej wziętości. W ostatnich latach, złamany wiekiem, nie mógł już oddawać się pracy. — Utrzymywał się z emerytury przyznanej mu z instytucyi Czci i Chleba oraz z pomocy, jaką odbierał z Tow. londyńskiego Przyjaciół Polski. Powszechnie szanowany w Londonderry, znalazł w naczelniku konstablerów tamtejszych p. Wood statecznego opiekuna. Ten pielęgnował go w chorobie, dbał o jego wygodę, regulował jego interesa z niemałą własną ofiarą i zamknął mu powieki. List, w którym ten zacny człowiek donosi instytucyi Czci i Chleba o jego zgonie, jest wzruszający szacunkiem, jaki miał dla polskiego wojownika. Napisał mu też piękny nekrolog w miejscowej gazecie „the Londonderry Sentinel.“

Zmarli:

Ś. p. Władysław Włoszkiewicz, budowniczy w Kościanie.

Ś. p. Jadwiga Twardowska w 22 roku życia w Jerce.

Ś. p. Józef Wierzejewski w Zbąszyniu.

Ś. p. Antoni Wełnic w Połajewie.

Ś. p. Władysław Karolewicz, nauczyciel w Marzeninie, przeżywszy lat 39.

Ś. p. Antonina Mielcarska na Wildzie pod Poznaniem.

Ś. p. Józef Badurski w Poznaniu, przeżywszy lat 68.

Niech spoczywają w spokoju!

Rozmaitości.

Tagalowie, jedno z najgłówniejszych plemion tubylczych na Filipinach, które pochwyciło broń, aby walczyć za niepodległość wysp, zagrożonych przez zaborczą politykę Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, nie są plemieniem jednolitem pod względem etnograficznym, składają się bowiem przeważnie z mieszańców z Chińczykami. Plemię to uważane jest za pioniera cywilizacyi na archipelagu Filipińskim. Właściwą ojczyzną jego ma być środkowa część wyspy Luzon, dziś jednak i inne części wyspy, które niegdyś zaludnione były przez plemiona malajskie, są w znacznej części „stagalizowane“. Wielu Tagalów służy już dziś za pisarzy w biurach rządowych. Marzeniem rodziców tagalskich jest zrobić syna księdzem. Gdy Hiszpanie zajęli wyspy Filipińskie, znaleźli Tagalów podzielonych na drobne gminy, zamieszkujących okolice leśne. I dziś, pomimo powierzchownego poloru cywilizacyi, zdarza się często, że całe rodziny Tagalów znikają w puszczach leśnych i pozostają tam na zawsze. Pod względem budowy ciała przedstawiają Tagalowie wzorowy typ ludzi, stworzonych do życia na łonie natury. Ogromna ruchliwość palców u nóg, sprawiająca, iż stóp prawie na równi z dłońmi używać mogą, przypomina czasy, gdy przodkowie dzisiejszych mieszkańców Luzonu tylko w szybkiem wdrapywaniu się na drzewa szukali ocalenia przed dzikiem zwierzem. Również nadzwyczajnie rozwiniętym jest u nich zmysł powonienia. Tagal ma dwie namiętności: żucie betlu i walkę kogutów. Kogutem, przeznaczonym do walki, zajmuje się Tagal więcej, niż własnemi dziećmi, bierze go z sobą w pole, gdzie pracuje, nosi go pod pachą podczas spaceru. Trenowanie ptaków odbywa się w maleńkich cyrkach. Podczas walki nie poznałbyś flegmatycznego zazwyczaj Tagala: w gorączce śledzi przebieg walki i niejednokrotnie na zakłady przegrywa cały majątek. Rząd hiszpański w miastach traktował Tagalów jak dzieci: osobne przepisy wskazywały godziny, w których było wolno grywać w karty, trenować koguty i t. p. Tagalowie są gorliwymi katolikami, co nie staje im na przeszkodzie zachowywaniu niektórych starodawnych zwyczajów i obrzędów tchnących duchem pogaństwa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wny Pan Gorzeński. Bez nadesłania kwitu i kosztów przesyłki nie wyszlemy.

Pani Bzyl. Niestety! spóźnione.

L. N. w S. Do przyjęcia wykształcenie gimnazyalne potrzebnem nie jest.

Pan Józef Rais. Trzeba upominać się na poczcie. U nas już wyczerpane.

P. P. Cejrowski. Ani kwitu ani znaczków na koszta przesyłki nie otrzymaliśmy, a bez tego nie uskuteczniamy.

P. Bol. Ludwicki. To samo jak wyżej.

P. Sowiński. To samo jak wyżej.

P. Picher, Eisleben. Prosimy o dłuższe wiadomości.

P. J. Waberski. Ekspedycya nasza nie może równocześnie dołączać innego pisma dla X. B.

P. Gierliński. Numer 7 wyczerpany.

P. Ant. Marchlewski. Zastosujemy się do życzeń pańskich.

P. *Chłap.* Niestety, nieczytelne! Niech pan pisze na maszynie do pisania.

Agentura Przement. Pojedyńczego numeru nie sprzedajemy. Nr. 15 wyczerpany.

P. *Kupczyk.* Niech się Pan zwróci wprost do firmy Brandt i Nawrocki w Berlinie, Friedrichstr. 78.

P. *Piotr St. Janowo.* Bez kwitu i znaczków pocztowych nie nadeszlemy.

P. *A. Motykowski.* Niech się pan upomni na poczcie i zapłaci 10 fen., a poczta obowiązana jest Panu dostarczyć.

P. *Spychałowicz.* Bez wynagrodzenia.

P. *Jan Rynk., organ.* Żądanych artykułów dostarczyć nie możemy.

P. *Ptasik*, Reiherstieg. Bez kwitu dowodowego i kosztów przesyłki nie wyszlemy.

P. *Karol Frankenberg*, Trzemeszno. Jest Pan jedynym, który się uskarża, że „Praca“ daje za mało treści do czytania. O numer 15 niech się pan upomina na poczcie.

L. H. Mamy taki nawał rękopisów do czytania, że musi Pani cierpliwie czekać, czy jej utwór będzie drukowany.

Wny Pan Ponkowski w Łabiszynie, Wny Pan Feige w Cempiniu i Wny Pan Krzywiński w Bydgoszczy. Serdecznie dziękujemy za nadesłanie nam nr. 15.

P. *Lochyński.* Niech się Pan zwróci po żądaną informacyę do „Poradnika Gospodarczego“ w Poznaniu.

Pan Soppa Reiherstieg. Niech się Pan upomni o numery brakujące na miejscowej poczcie.

Kalendarzyk historyczny.

23. 4. 1794. Wybuchło powstanie we Wilnie pod dowództwem pułkownika Jakóba Jasińskiego.

25. 4. 1834. Legion polski prowadzony przez Mickiewicza przybył do Medyolanu.

25. 4. 1848. Zniesienie poddaństwa i pańszczyzny w Galicyi.

26. 4. 1848. Jenerał austryacki Castigliono bombardował Kraków.

26. 4. 1849. Józef Wysocki odniósł zwycięstwo pod Komornem na Węgrzech.

26. 4. 1863. Powstańcy zabierają Moskalom broń pod Krasławiem w Inflanciech.

26. 4. 1865. Ks. Stanisław Brzoska, po rozpaczliwej obronie, został ujęty przez Moskali w Podlaskiem.

27. 4. 1849. Legia polska uznana przez Rzeczpospolitą rzymską.

26. 4. 1863. Young de Blankenheim wyparł oddział wojska rosyjskiego do Poznańskiego.

29. 4. 1848. Bitwa pod Książem w Poznańskiem.

29. 4. 1863. Świetne zwycięstwo Edmunda Taczanowskiego pod Pyzdrami.

Szarada.*)

Pierwsze - pierwsze z radością usłyszymy
w lesie,
Gdy nam prawdziwą wiosnę bieg czasu
przyniesie.
Drugi wsteczny się znajdzie tam w ptasiej
drużynie...
Wszystek jakkolwiek zwolna z użycia
już ginie,
Mógłby znacznie ożywić karnawału chwile,
Witany zwłaszcza po wsiach ochoczo i mile,
Jako wskrzeszona postać rzetelnej zabawy...
Niechże teraz odgadnie, kto treści ciekawy..

Rozwiązanie szarady z nr. 11-go:
Litera.

Rozwiązanie łamigłówki z nr. 14-go:
Krakus i Wanda.

Dobre rozwiązania posypały się jak z rogu obfitości tak z blizka jak też z daleka prozą i wierszem. Niestety tym razem dla braku miejsca wyjątkowo nie możemy zamieścić bardzo długiego spisu tych wszystkich osób, które nam nadesłały dobre rozwiązania.

*) ☛ Odtąd przeznaczamy każdorazowo 10 nagród; — i to 5 nagród dla tych Czytelników, którzy należeć będą do najpierwszych, a 5 nagród dla później nadeszłych trafnych rozwiązań; ostatnim przyznaje się nagrodę za pomocą wylosowania.

Rozwiązania szarad winny nadejść każdą razą już najpóźniej w środę rano, inaczej nie możemy takowych uwzględnić, gdyż już w środę kończymy druk numeru, wskutek czego rozwiązania dopiero potem nadeszłe nie wchodzą w rachubę.

Tak samo prosimy szarady pisać łaskawie zawsze na osobnym kawałku papieru z nagłówkiem „Szarada“ — leży to bowiem w interesie Czytelnika i naszym. ☚

HUMORYSTYKA.

Odleciały.

Gdym za rączkę ściskał białą
I całował jasne czoło,
Ja śpiewałem, tyś śpiewała
I śpiewało wszystko w koło!
Wszystko znałem z marzeń, wrażeń,
Jakie młodość tylko prześni,
A marzenia i pieszczoty
Zamykałem w słodkiej pieśni.
Lecz niepomny na chłód świata
Co powoli serce bierze,
Jam tych piosnek nie spisywał,
Nie utrwalał na papierze.
Dziś napróżno wspomnień wzywam
I napróżno łamię głowę,
Nie wracają piosnki moje
Młode, dźwięczne, uczuciowe.
I napróżno myśl wysilam
Nie pomogą wszyscy święci!
Piosnki moje, piosnki młode,
Wyleciały mi z pamięci.
Słyszę tylko, że wokoło,
Młodzi piosnki znowu nucą —
Cicho serce!... Twoje piosnki
Zapomniane nie powrócą!...

Jadwiga Wiśniewska,
Poznań, 13. 4. 99. art. dram.

Wiosna.

Spłynęły już śniegi, zniknęły już lody
A liście na drzewach już spore,
Więc każdy się stara o stroje i mody,
Na piękną wiosenną tę porę.

Żonusia strojnisia, swojego dziś męża,
To tuli, to pieści, to głaszcze,
Udaną pieszczotą jak zwykle zwycięża,
Mąż daje na suknie, na płaszcze.

Choć zwykle w kieszeni ma pustki nielada,
Lecz „z szykiem“ poznański biedaczek,
Obmyśla sposoby i plany układa,
Jak krawca naciągnąć na... saczek.

Pan Michał, co w brzuszek codziennie
swój wlewa,
Przez zimę kufelków dwanaście,
Na wiosnę gdy fiołki zakwitną i drzewa,
Już pije... kufelków piętnaście.

I marzy nieborak o letnim upale,
Gdy siądzie w piwiarni zmęczony,
Gdzie kufel po kuflu wysącza wytrwale —
I nos swój obciera czerwony.

Na dobre w Poznaniu urocza wiosenka
Piękności roztacza też swoje:
Wiosenny strój bierze na siebie panienka,
Kurzawy latają dziś zwoje.

I domy na lato malują gdzie spojrzysz,
I sklepy, i mury i kraty,
Jak tylko mularza zdaleka nie dojrzysz —
To wapnem pokropia twe szaty.

Na plantach też naszych kochane dzieciaki,
Biegają szczęśliwe, wesołe,
Tu piłką w nos weźmiesz, tu biją się żaki,
Tu złapie cię które za połę.

O luba wiosenko, co budzisz zachwyty,
Co niszczysz i troski i żale,
Przez twoje to wdzięki dziś jestem upity,
Więc odę dziękczynną ci palę! *R.*

Fragment małżeński.

— *Mężu!* — rzekła raz żonka w dwa lata
[po ślubie —
Zaczynają mnie dręczyć nudy niesły-
[chane;
Kup mi więc farb pudełko, ja malować
[lubię
I kwiatami ozdobię naszą porcelanę.
— *Żoneczko!* — odrzekł mężuś jak gło-
[domór chudy —
Choć twój talent, być może, obcy lu-
[dzie cenią,
Wolałbym, by kucharka, gdy cię drę-
[czą nudy,
Zdobiła porcelanę znośniejszą pieczenią.

Zdania moich przyjaciół.

Jak mi mówił Szmul Grzywiasty,
Co miał łeb na karku,
Gdzie się zbiorą trzy niewiasty,
Tam jak na jarmarku.
A jak mówił druh mój szczery,
Możny Goldfarb Abel,
Gdzie się zbierze niewiast cztery,
Tam jak w wieży Babel.



— Słuchajno Janie, jak się zdaje, ty palisz moje cygara.

— A przecież pana barona się pytałem, czy mi wolno palić.

— Pozwoliłem ci, ale któż ci powiedział, że ci wolno brać z mego pudełka?

— A przecież bym się o pozwolenie palenia moich własnych cygar nie pytał.

Hagar na gospodarstwie.

Od myśli natłoku złysiała mi głowa,
W kieszeni pustynia, o dziatwo semowa,
Usłysz płaczący mój głos!

Kiedy by z zgryzot me ciało wychudło,
Z zawartej kasy niech wytryśnie źródło,
Którem ożywisz mój trzos.

Czyż nigdy, już nigdy nie nazwią mnie
[panem,
Przyjaciół mych grona nie spoję szam-
[panem
I licznych nie będę miał sług.

Wiem dobrze — w tym roku choć wy-
[brnę z kłopotu,
Kieszeni mych pewno nie napełnię zło-
I nowy zaciągnę dług. [tem,

Gdyż tu na przemiany deszcz pada
[i pada,
Przenicę i owies do reszty wykłada,
I wszystko marnuje na pniu.

W trosce o łany co stoją nie ścięte,
W trosce o buraki chwastami objęte
Ciężko dzień schodzi po dniu.

A w nocy, gdy usnę, to widzę przed
[sobą,
Me woły i krowy zniszczone chorobą
I krowy chude jak cień.

I wszystkie te widma, cierpienia i nędzy,
Zda mi się, że ryczą pieniędzy, pieniędzy,
Ach noc straszniejsza jak dzień.

Podatki zaległe zapłacić ja muszę,
Skargami mojemi sprawnika nie wzru-
I bank nie zwolni od rat. [szę,

Ja zatem, o żydzie, przed tobą się kła-
[niam,
I z całą pokorą przed tobą osłaniam,
Biedę co dźwigam od lat.

Prawda, żem hulał i zgrywał się w karty,
Piwnicę miał pełną i dom miał otwarty,
Lecz dzieci moje bez win!

A jeść one muszą i uczyć ich trzeba,
I z góry opłacić kawałek ten chleba,
Który ma zdobyć mój syn.

Pieniądze twe tylko poradzić tu mogą,
Więc stoję przed tobą ze drzeniem i trwogą,
I wszelki rzuciłem ja wstyd.

I błagam! a prośba niech dojdzie gorąca,
Nie odmów pożyczki jednego tysiąca
Tyś wielki, tyś mocny, tyś żyd!

O nie patrz tak, żydzie, kamiennym
[obliczem
I prośbę wysłuchaj, gdy odejdę z niczem
Któż uratuje mnie! kto?

Przed głosem, przed moim czy zam-
[kniesz twe uszy
O żydzie! o żydzie! niech jęk cię mój
[wzruszy
Pożycz! ach pożycz! choć sto.

Ussorowski.

Krakowiak panieński.

Kukułka już kuka,
Bocian żabek szuka,
A w sercu dziewczęcia
Dotąd pusta luka...

Budzi się przyroda
Z letargu do życia;
Pisma zaznaczają
Wciąż nowe „odkrycia“!

Ale się nie znajdzie
Jaki człek uczony,
By „odkrył na mężów“
„Sposób ulepszony“!

Zyskał by w nagrodę
Wdzięczność i mamonę,
A jeśli kawaler, —
To w dodatku żonę.

Nie feministka.

J. Kmiecikowski,

Introligatornia Poznańska

Poznań, Wodna ul. Nr. 2 I. p.

Poleca się do wykonywania

wszelkich opraw

zwyczajnych aż do najwykwintniejszych.

Specyalność:

oprawianie mszałów, brewiarzy,

ksiąg handlowych,

które podług każdego szematu w jaknajkrótszym
32 czasie wykonuję.

Oprawy trwałe — ceny nizkie.

Wykonanie punktualne.

Po 20-letniej praktyce we Wrześni przesiedliłem się do Poznania, ulica Rycerska 18, I.

Kaźmirz Nowacki,
164 lekarz weterynaryi.

Wydatki domowe.

Książkę do zapisywania codziennych wydatków kobiecego gospodarstwa

praktycznie ułożoną z odpowiedniemi rubrykami poleca po cenie **Mr.1,50** 749

Skład papieru, materyałów piśmiennych, ksiąg handlowych i regestrów gospodarcz.

„Atlas“

(W. Kostrzewski)

Poznań, Stary Rynek Nr. 48.

„DZIENNIK KUJAWSKI“

wraz z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym **„Piast“** kosztuje na poczcie **1 mk.** kwartalnie, z odnoszeniem do domu **1,40 mk.**, w mieście zaś z odnoszeniem do domu **120.**, czyli miesięcznie, jak dotychczas, **40 fen.**

Każdy abonent ma nadto prawo w ciągu miesiąca, na który kwit abonamentowy wystawiony, zamieścić w „Dzienniku“ anons czy ogłoszenie w wielkości trzech wierszy **za darmo.**

Kto skorzysta z tego prawa, otrzyma więc pismo na cały miesiąc lub kwartał **bezpłatnie!!**

„Dziennik Kujawski“ jest jak się Czytelnicy już dostatecznie o tem przekonać mogli, pismem opierającem się jedynie na prawie i sprawiedliwości, tak na zewnątrz, jak na wewnątrz, w naszych wewnętrznych warunkach społeczno-narodowych. Przestrzegając jak najzupełniejszej bezstronności, kieruje się pismo nasze jedynie względami na dobro publiczne i równo traktuje wszystkie partye i odcienia wszystkich obywateli, bez względu na osobę. To też „Dziennik Kujawski“ zyska sobie uznanie wszystkich spokojnie i uczciwie dla sprawy naszej pracujących obywateli i coraz bardziej się rozszerza. Niechże i na nadchodzące ćwierćrocze Czytelnicy nasi starają się o pozyskanie nowych abonentów; przyczyniają się przez to do przywrócenia zakłóconej dziś niestety zgody i miłości bratniej, o co pismo nasze tak usilnie się stara. Bóg i wiara, dobro ojczyzny i zgoda na wewnątrz, z uwzględnieniem praw i interesów wszystkich warstw społecznych — oto hasła, pod którymi i nadal walczyć będziemy!!

Bardzo pewna hipoteka na

10,000 marek

na kamienicy w najlepszem położeniu górnej części miasta Poznania jest na sprzedaż. Oferty upr. pod lit. ***„W. M.“*** do Ekspedycyi „Pracy.“

Potrzeba od Sierpnia: **Nauczycielki egzaminowanej doskonałej** w muzyce i francuzkiem na 1000 do 1200 marek rocznie. Od Maja lub Czerwca: **Nauczycielki** doskonałej w muzyce, znającej języki obce gramatykalnie w Lubelskie, pensya podług ugody. 165

A. Koczorowska,
nauczycielka, Strzelecka 3b.

POLAK, 34 lat liczący, który pracował przez 15 lat w biurach policyjnych i zawiadował rozmaitemi kasami z chlubnemi świadectwami i który jedynie z powodu knowań hakatystycznych pozbawiony został chleba poszukuje od 1-go Lipca r. b. lub wcześniej albo później miejsce kasyera na większym majątku ziemskim. Zgłoszenia do Ekspedycyi „Pracy“ pod lit. W. S.

Młyn wodny na Prośnie
157 potrzebuje

2 uczni i czeladnika

na stałą pracę od zaraz. Zgłoszenia przyjmuje ***Sobański,*** Kołusze, p. Tursko pow. pleszewski.

Poszukuję

2 chłopców mających chęć wyuczenia się tkactwa

za wysoką zapłatą. Posyłać ich będę trzy razy tygodniowo do tkackiej szkoły. Szkólne świadectwo pożądane. Podróż wynagrodzę. Zgłoszenia do Eksp. „Pracy“ pod znakiem 159, lub też wprost do p. Michała Tuszyńskiego, Elberfeld, Brunnenstr. 1.

Panna służąca

znająca dokladnie krawieccczyznę, białe szycie i prasowanie potrzebna od zaraz. Zgłoszenia wraz z warunkami, oraz kopiami świadectw, których się nie zwraca, przesłać pod adresem 163

L. K. Chrzonstowo
poste restante.

---

161 **Kawę**

surową i paloną

w pocztowych pakietach po 5—9 funtów, poleca w cenie po 70, 75, 80, 85, 90, 95, 100, 110, 120 fen. za funt franco przez zaliczkę pocztową

A. Schilling, Znin.

Duży, widny, dobrze umeblowany

pokój frontowy

z osobnem wejściem i z usługą, niezbyt daleko od placu Wilhelmowskiego jest poszukiwany. Oferty piśmienne do Administracyi „Pracy.“

Poszukuje się stancyi ze stoł. w pobliżu bramy Berlińskiej. Of. pod lit. W. J. do Eksp. „Pracy.“

Telefon Nr. 578. ***Telefon Nr. 578.***

Szanownej Publiczności miasta **Poznania** i okolicy zwracamy uwagę na nasz nowo założony

interes spedycyjny i komisowy

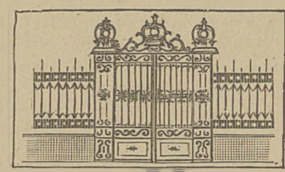
pod firmą

E. Kierski & J. Rychłowski.

Zaręczając skorą i rzetelną usługę przyjmujemy wszelkie zamówienia w naszem biurze ***za Bramą Berlińską 16*** w domu pana Jezierskiego i prosimy o łaskawe poparcie naszego przedsiębiorstwa.

Z wysokim szacunkiem 166

Emanuel Kierski & Józef Rychłowski.

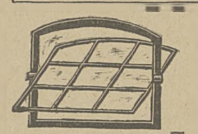


St. Urbanowicz

we Wrześni.

Premiowany medalami
70 państwowemi

zakład ślusarski.



Wykonuje na prowincyą dla Panów Budowniczych i Posiedzicieli podług każdych rozmiarów okna wszelkie z kutego żelaza spiesznie i wysyła franko do każdej stacyi.

30000 marek

trzeba zapłacić do 1-go Października r. b. za plac zakupiony do budowy kościoła Panny Maryi w Berlinie. 15,000 katolików, pomiędzy nimi ***4—5000 Polaków*** proszą cię, kochany czytelniku, jak najserdeczniej, abyś im pomógł przy zebraniu owej sumy. 141

Do budowy nie mamy jeszcze ani grosza. Prześlij zatem z miłości ku ***Matce i Królowej twej świętej*** choć mały datek na wybudowanie tej świątyni. Przyjmij już naprzód serdeczne „Bóg zapłać“!

Ks. JEDER,
zarządzca parafii Panny Maryi.
Berlin S. O., Wrangelstr. 84.

Goniec Wielkopolski

Najtańsze pismo codzienne dla wszystkich stanów

kosztuje teraz kwartalnie

tylko 1 markę.

Zapisany jest na poczcie: Zeitungspreisliste Ergänzungsheft III, S. 92 t. 52.

Karty wizytowe

100 sztuk za 1 m. 50 fen.

wysyła odwrotną pocztą

Drukarnia „Pracy“ w Poznaniu.

ADRESSEN aller Branchen und Länder
liefert unter Garantie:
C. Herm. Serbe
Internat. Adressen-Verlagsanstalt
o Gegründet 1864 o **Leipzig**
Katalog über stets vorräthige 6,000,000 Klebe-Adressen bitte zu verlangen. **Zu beziehen durch jede Buchhandlung.**
Kennzeichen: Jeder einzelne Adressenbogen trägt unsere Firmen-Aufdruck. Man hüte sich vor minderwerthigen Nachahmungen!

Zakład kościelno-artystyczny
J. SZPETKOWSKIEGO
w Poznaniu,
kantor i skład przy ul. Berlińskiej 16,
fabryka na św. Łazarzu,

poleca:



Stacye Męki Pańskiej
wypukło-rzeźby (hautrelief) z masy mozajkowej, trwałej przez całe wieki.

Figury Świętych Pańskich
z drzewa, masy mozajkowej i sztucznego kamienia.

Sprzęty kościelne:
ołtarze, ambony, stałe, konfesyonały, chrzcielnice, ławki i t. d.

Naczynia kościelne:
monstrancye, kielichy, trybularze, świeczniki, lichtarze, lampy wieczne i t. d.

Chorągwie dla kościołów i Towarzystw z obrazami olejno malowanemi i jedwabiem artystycznie haftowanemi.

Restaurowanie i dekorowanie kościołów w najgustowniejszem wykonaniu.

86 Cenniki i kosztorysy na żądanie gratis i franko.

Założony 1845 r.
Najstarszy warsztat i skład obuwia
w Poznaniu poleca:



Nowość! Buciki wynalazku Krügera, patentem opatrzone, **do wiązania** jednem pociągnięciem sznórówki otwierane i zamykane, własnego wyrobu.

Nowość! Buciki Lawe'go z materyi przejrzystej (warsztacikowe) dotąd niebywałe i niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Wielki wybór! *Usługa rzetelna!*

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,
obok hotelu Rzymskiego.

Wielmożnym Paniom w miejscu jak i na prowincyi pozwalam sobie jaknajuprzejmiej donieść, iż od 1-go kwietnia r. b. mieszkam

przy placu Wilhelmowskim Nr. 18
(obok Biblioteki Raczyńskich).

Polecając się nadal łaskawym względom, nadmieniam uprzejmie, iż na życzenie WPań wykonuję **konfekcyą damską** również na sposób **krawca damskiego** pod gwarancyą jak najlepszego leżenia. **WPanie z prowincyi** potrzebują na miarę tylko staniczek nadesłać; resztę można załatwić w drodze korespondencyjnej.

Z wysokim szacunkiem
W. Szpotańska
pracownia krawieczczyzny damskiej.

Uczennice mogą się również zgłosić każdego czasu. Specyalność: **gruntowna nauka i krój najpraktyczniejszy.** 144

Bank Parcelacyjny
E. G. m. b. H.
w Poznaniu na Piekarach Nr. 18

1) nabywa *za gotówkę* i sprzedaje *na upłatę:* dobra, folwarki i gospodarstwa, parcele i place pod budowle, oberze, wiatraki itp.
2) przeprowadza regulacye hypotek:
3) ma każdego czasu do sprzedania *5 proc. hypoteki pierwszomiejscowe* a
4) kasa oszczędności Banku tego płaci nadal od *depozytów* 4 ½% za kwartalnem, a 5 ½% za półrocznem wypowiedzeniem. 849

Polak w jednem z większych miast Górn. Szląska zamieszkały, z dobrej rodziny, wysoko wykształcony i poważne niezależne zajmujący stanowisko, pragnie się ożenić i poszukuje na tej drodze

żony

dobrze wychowanej, łagodnego usposobienia, z lepszem wykształceniem, sympatycznej powierzchowności i z pewnym majątkiem, wieku nie niżej 25 lat. Łask. zgłoszenia z fotografią uprasza się nadesłać do Red. „Pracy“ pod lit. *G. 136.*

Za dyskrecyą ręczy się honorem. 136

W Sielcu p. Podobowice, powiat Żnin, potrzebny od św. Jana 131

pisarz podwórzowy

znający się na rachunkowości i prowadzeniu regestrów. — Przy zgłoszeniu się należy dołączyć świadectwa z dotychczasowych obowiązków.

---

100 zdolnych murarzy przyjmie na stałe zatrudnienie do budowy nowego kościoła w Inowrocławiu. 150

K. Przyłuski, budowniczy.
Inowrocław, Solankowa 17.

Młodzieniec
chcący się poświęcić **praktyce dentystycznej** może się zgłosić do mego zakładu jako **uczeń.**

146 **M. Kaniasty,**
specyalista w dentystyce
Poznań, św. Marcin Nr. 4.

Poszukuję od zaraz korzystnego kupna **cegielni lub też udziału wspólnika** z większym kapitałem. 151

Zgłoszenia przyjmuje Ekspedycya „Pracy“ pod literami **A. D. 1771.**

Piekarnią
dobrze prosperującą z domem (w najlepszym porządku się znajdującym, położony na głównej ulicy, do tego ogródek, chlewy, podwórze i morga roli, mam zamiar z wolnej ręki tanio sprzedać. Łaskawe oferty proszę nadesłać pod lit. P. P. 10 do Ekspedycyi „Pracy.“ 148

Kawaler, katolik, Polak, właściciel domu i dobrze prosperującego magazynu manufakturycznego, liczący 32 lata, poszukuje na tej drodze

żony.

Reflektantki, panny lub wdowy z posagiem około 5 tysięcy marek upraszam o nadesłanie fotografii i zgłoszeń do „Pracy“ pod lit. A. B. 147. Rzecz traktuję poważnie i honorowo.

M. KANIASTY,
Poznań, św. Marcin Nr. 4.
Praktykuje od r. 1890.

1. *Wprawia sztuczne zęby* na płytkach i bez, jako też całe szczęki wszelkiego rodzaju.
2. *Plombuje zęby* złotem, srebrem i emalią, oraz wszelkiemi amalgamatami. 145
3. *Leczy bolące zęby* za pomocą środków pewnych i wypróbowanych.
4. *Wyrywa zęby* nie warte leczenia umiejętnie i szybko.
5. *Oraz dokonuje wszelkich operacyi zębów* w uśpieniu, lub za pomocą środków lokalnie znieczulających.

Ceny bardzo umiarkowane!
Sumienne wykonanie. Najlepszy materyał.

UWAGA! Dla dzieci i młodzieży szkólnej, racyonalnę leczenie i pielęgnowanie ząbków w abonamencie. Przyjmuję od godz. 9—1 i 3—6. W niedzielę i święta tylko przed południem.

Z dniem 15-go b. m.
rozpocząłem praktykę jako
lekarz-okulista
i przyjmuję chorych 162
od godz. 10½—12½ i od 3—5.
Dr. med. Jan Stasiński.
Poznań, plac Piotra 4.

Belki i kantowinę budulcową
w wszelkich rozmiarach,
deski i blochy
w rozmaitych grubościach,
jako i wszelkie inne **artykuły budowlane**
60 poleca
L. F. Stroiński
w Pakości.

W każdym polskim domu powinna znajdować się „Praca“!

„W obecnych czasach“
każdy
powinien mieć sobie za obowiązek przynajmniej dwa razy do roku poddać się rewizyi **zębów** przez dobrego dentystę, by uniknąć nieprzyjemnych bólów zębów. Piękne zdrowe zęby są największą ozdobą twarzy. Wypróchniałe zęby i nabrane jadowitą materyą dziąseł, wydawają woń nieprzyjemną i wskutek tego działa bardzo niekorzystnie na wewnętrzne organizma, naprzykład *niestrawność.*

W plombowaniu i wprawianiu sztucznych zębów poleca się uniżenie na Wrześnią i okolicę

W. Milczyński 155
pr. tech. dentysta
Września, Rynek Nr. 22.

Właściciel i wydawca M. Biedermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni „Pracy“ (M. Biedermann) w Poznaniu, Rycerska 38. Telefon Nr. 295. 4 maszyny pospieszne, pędzone siłą elektryczną.